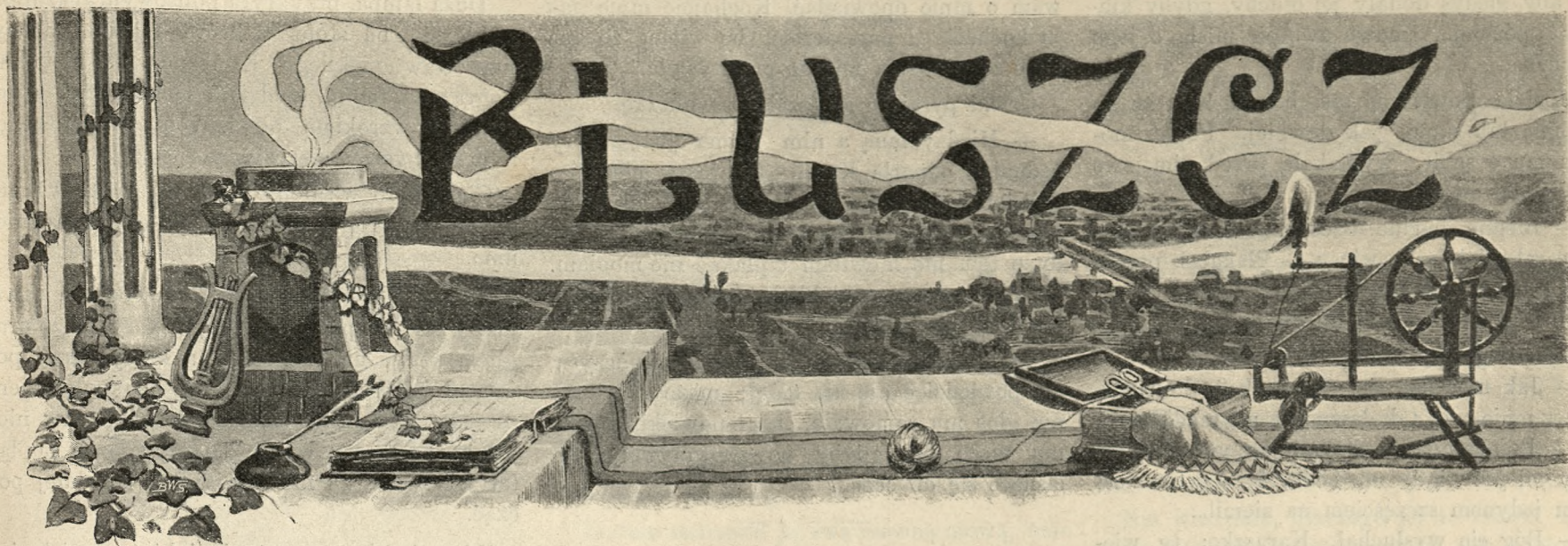




PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantora: h pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

Kobieta japońska.



Wobec zainteresowania się Japonią, na którą zwrócone są teraz oczy Europy, ciekawem jest poznać nie tylko jej siły zbrojne, organizację wewnętrzną, ale obyczaje i mieszkańców. Przyjrzyjmy się Japonkom — nie operetkowym, nie Gejszom, ale matkom i żonom w ich własnym kraju.

Kobieta japońska bywa szczupłą, nie nabiera tuszy, nawet na starość, rośnie do lat dziewiętnastu, ale rośnie powoli i nie przewyższa wzrostem naszych 12-letnich dziewczyn. W Japonii można spotykać wiele kobiet ładnych, według naszego pojęcia o estetyce, niejedna białością może współzawodniczyć z córami Europy. Japonki, pozbawione białej pici, starają się zastąpić ją bielidłem; malują sobie nie tylko twarze, ale szyje i ręce, pomimo, że Japończycy tego nie lubią i kobiety, które są umiarkowane pod tym względem, odznaczają nazwą *Usukesho* (lekka szminka). Panny z lepszych domów używają mało bielidła.

Obok kobiet białych — bez sztuki (bywa ich 1 na 60), spotykają się zupełnie czarne, jak w Indyach i o czerwonej barwie skóry — te są w pogardzie. Japonka wolałaby być czarną jak kruk, niż mieć skórę czerwoną. Jest to oznaka niskiego rodu, piętno pospolitości.

Ręce wytwornej Japonki są małe, zgrabne, włosy przesłizne, dłuższe nieraz od samych kobiet, mierzą 4 — 5 stóp. Kolor czarny, kruchy, jest oznaką dobrego rodu. Włosy jaśniejsze i bez połysku są takim samem upośledzeniem, jak skóra czerwona. Blondynki prawie nieznanne w Japonii. Po większej części kobiety mają tam przepyszne zęby. Dawniej malowano je na czarno mężatkom, służyło to nie tylko za metrykę ślubną, ale miało też na

celu oszpecenie kobiety. Dzisiaj zaniechano tego barbarzyńskiego zwyczaju.

Japonka nie wykoszlawia sobie nóg, tak jak Chinka, ale też nie naśladuje kobiety europejskiej w noszeniu gorsetu... Nie zna kolczyków; na jednym tylko punkcie obraża naturę — goli brwi. To oznaka macierzyństwa. Skoro tylko uczuje dziecię w swem łonie, natychmiast dokonywa tej operacji.

Japonka chodzi bardzo niezgrabnie, cała naprzd podana, jeśli przypadkiem, trzyma się prosto, uważana jest za dumną. To też od dzieciństwa uczy się zginać we dwoje, czyniąc tem ujmę piękności i higienie. Jej chód jest powolny, leniwy przede wszystkim — z zasady, dlatego, że kobieta powinna się wydawać spokojną, powolną, ale też skutkiem długiego ubrania i niewygodnych drewnianych sandałów, trudno jej się poruszać.

Japonka nie używa rękawiczek *te bukuro* (worki na ręce), tylko *tahi* (worki na nogi), nie zna kapelusza, natomiast kunsztownie piętrzy fryzurę, zarzucając na nią w zimie lekki welon — *sukin*.

Japonka do lat dziesięciu zalewa się łzami nieustannie o byle co. Dopiero od lat 16 zaczyna być wesołą i śmieje się ciągle, jak poprzednio płakała bez przyczyn. Jest to najpiękniejszy wiek. Po latach osmnastu panna staje się nieśmiałą, waży słowa, kryguje się. Po wyjściu za mąż, kobiety średniej sfery, otaczają mężów szacunkiem, służą im skwapliwie, czyszczą odzież, podają *saki* (japońskie wino), za każdym wyruszeniem z domu, przeprowadzają go do drzwi, za jego powrotem, muszą wychodzić na spotkanie. Gdy idą razem, to mąż naprzd — żona z tyłu. Obecnie wiele par chodzi ze sobą rzędem, nigdy jednak pod rękę. Naraziłyby się na pośmiewisko. Japonki bywają wierne swym mężom, przy najdłuższej rozłące, nawet po śmierci.

Choć mąż jest wiarołomnym, żona docho-

wuje mu wiary. Japonka jest najlepszą matką, dbała o wychowanie dzieci. Za młodu myśli tylko o strojach, ale gdy wejdzie pod dach mężowski oddaje się duszą całą swym obowiązkom. Na niej jedynie spoczywa ciężar wychowania. Japończycy przyznają żonom wielkie zdolności pedagogiczne, choć stosunek mężczyzny do kobiety streszcza się w maksymie: *danson-johi*, t. j. „cześć mężczyźnie, wzgarda kobiecie”. Główna przyczyna upośledzenia spoczywa w tem, że kobiety nie wnoszą posagu. Że w materialnej zależności od mężów leży źródło owych barbarzyńskich poglądów, świadczy fakt, iż tej pogardy nie dzielą klasy robotnicze; tam kobieta uważana jest na równi z mężczyzną, bo nieraz pracą swoją utrzymuje dom cały; bywają farchy, sprawowane wyłącznie przez kobiety, między innymi fryzjerki; mąż będący na utrzymaniu żony, schyla przed nią czoło, krząta się po domu, wychowuje dzieci. Zmienia się tu (maksyma) na *jason-dampi* „cześć kobiecie, wzgarda mężczyźnie.” Dlatego też japońskie przysłowie powiada: „Nie bierz żony bogatszej od siebie,” bo mimo swej cywilizacji, Japończycy nie są zwolennikami feminizmu.

— cż. —



WNUCZKA.

NOWELLA.



(Ciąg dalszy).

Mówił tak do niej długo, długo, słuchała go mileząc ze skupioną uwagą, jak gdyby każde słowo jego zapamiętać chciała na wieczność.

Może pragnęła, by zostały na dnie jej ser-

ca, aby kiedyś dodały jej otuchy, gdyby kiedyś... później... znowu zwątpić miała o jego uczuciu.

Musiała powtarzać mu bez końca, że go kochała tak samo, jak dawniej. Potem mówiła mu o sobie, wypłakała przed nim swe cierpienia, swe obawy.

— Biedne, biedne dziecko! — mówił, — gładząc ręką jej jasne włosy. — Płakałaś przeze mnie? bardzo płakałaś? — pytał jej.

— Płakałam, potem modliłam się...

Zwiesił głowę.

— Jak modliłaś się, Karuszek? Powiedz, naucz mnie... ja tak dawno się nie modliłem!...

— Prosiłam Boga, by mi przywrócił ciebie i by mi już nigdy nie odebrał tego, co jest mem jedynym szczęściem na ziemi!...

— Bóg cię wysłuchał, Karuszek; ty wierzysz w Niego mocno, niezachwianie?

— Wierzę. Bóg wysłuchał. Widzisz, że wysłuchał, prawda?

— Prawda! Ja wierzę od dziś także, dlatego, że ty wierzysz.

— Tylko dlatego, Zygmuncie?

Mysłał przez chwilę, potem rzekł do niej:

— Nie tylko dlatego. Ja wierzę, bo On mnie przekonał, że jest dobry, dając mi ciebie! Ty chcesz, abym wierzył i — modlił się?

Skinęła głowę.

— Będziemy odtąd często prosili Boga, aby nam szczęście zachował...

Marceli Orwid wszedł do salonu — dowiedział się był o przybyciu Kończycy. Patrząc na niego wzrokiem badawczym, jak gdyby chciał przeniknąć do głębi duszę tego człowieka, w którego rękę spoczywało szczęście jego wnuczki.

Kończyce pocałował go w rękę i do nóg mu się pochylił.

— Pobłogosławcie, dziadku!... Ona musiała

wam o mnie opowiadać. Kochajcie mnie, jak ją kochacie i przebaczcie, bo wiem, że ona chce tego — sama mi już przebaczyła.

Orwid pytająco spojrział na wnuczkę.

— Między mną a nim niema już zapory żadnej — odparła Kara. — O proszę, niech go dziadek przygarnie do siebie, tak, jak mnie nieraz przygarnął, kiedy mi było źle, a kiedy o tem nie mówiłam i płakać nie mogłam. On nam sercem taki blizki, zobaczy dziadek i kochać go będzie..

Orwid położył rękę na głowie Kończycy, ale powiedzieć nie mógł; może wzruszenie głosu mu tamowało, bo i powieki drgały mu nieco, jak gdyby powstrzymywały łzy, cisnące się do oczu...

IV.

Kończyce wyjechał z Warszawy, a życie Kary płynęło dalej równym trybem. W uszach jej brzmiały jego słowa, jego prośby, zakłęcia i przysięgi.

Upłynęło dni kilka, napisał do niej; czytała ze łzami, dziękowała modlitwą za szczęście.

I szczęście to trwało. Minęło kilka letnich tygodni, odbierała wieści od Kończycy, nie częste, ale serdeczne, pełne miłości i tęsknoty. Przyjechał raz niespodzianie do Warszawy z Kalinieckimi, a salon Orwida pełen był wtedy wesela i radości. Potem przyjechał sam, nie oznajmiając przybycia swego — przyjechał z tęsknoty do swojej Karuski, taki sam zawsze, przysięgający jej miłość wieczną z prośbą gorącą, by go kochała niezmiennie. Jakoż lato się skończyło.

Był to jeden z tych dni posepnych i szarych, kiedy niebo zasnuwane ciężkimi chmurami i wiatry z szumem w świat lecące, zwiastują jesień blizką, owianą mgłą i smutkiem.

Duża lampa, przykryta ponsowym abażurem, paliła się na stole, z którego jednej strony, naprzeciw pięknego Kończycy, w głębokim pograżona fotelu, siedziała Orwidówna, z posępnym wzrokiem błękitnych oczu, utkwionym w twarzy mężczyzny.

Cicho było w salonie, jeno wiatr kędyś szumiący, przeciągle wydawał jęki czy westchnienia.

Twarz Kary blada była, a w oczach tkwił jakby żal nawpół świadomy, który może pragnęła ukryć na dnie serca, a który łzami powracał jej do oczu; tem łzawem spojrzeniem zawisła na twarzy siedzącego naprzeciw niej człowieka, który w tak dziwny sposób poplątał jej życie, że nie wiedziała, co dalej począć.

Zdawało się, że pytanie jakieś zawisło jej na ustach, że już je wypowie, a przecież milczała, bo ani ująć w słowa, ani wypowiedzieć tego, co czuła, nie mogła.

Przed chwilą postawił jej pytanie: czemu nie jest szczęśliwą? Prosił, by mu wyznała, dlaczego nie jest szczęśliwą, czego jej trzeba było do wielkiej, niezmaconej niczem szczęśliwości?...

O to pytał — jej?

Jak mógł pytać o to, czego powiedzieć mu nie mogła, co sam wiedzieć musiał, a zrozumieć widzieć nie chciał?

Czy mógł nie wiedzieć, że pragnęła być z nim razem wiecznie, wiecznie!

Kazał jej wierzyć — wierzyła, kazał czekać — czekała.

Na co? Alboż mogła przewidzieć? Dokąd miała ją zawieść ta ślepa ufność w człowieka, tak gorąco i wyłącznie umiłowanego?

A przecież on musiał wiedzieć, co czyni. Nie jej teraz tego dochodzić. Przysięgła bezwzględnie mu wierzyć i tak przysięgi tej do-

PRZY KOMINKU.

(Pogawędka).



Maluczko, a umilkną dźwięki skocznej muzyki, utoną we wspomnieniach czary nocy balowych, przycichną przyspieszone serce bicia, głowy się pochyla, złowróżbne słowa zabrzmią w uchu:

„Pulvis es et in pulveris reverteris!...”

Ale co mówię? Zanim te słowa mojej pogawędki dzisiejszej odczytane przez was zostaną, już proch smutnego przypomnienia spocznie na czołach waszych, już jeno echa w salach balowych będą szeptały coś cicho, może o nadziejach rozwianych, może o niejednego serca pęknięciu, o zasłyszonym gdzieś szepcie tajemniczym, o tem wszystkim, czem tylko obdarzyć może karnawał. Obecnie jednak, jakby właśnie korzystając z „ostatków,” Warszawa na umór się bawi; bal następuje po balu, publicznych moc, a już prywatnych zliczyćbys nie potrafił. Zdaje mi się, że, tak nazwany „artystyczny,” był punktem kulmi-

nacyjnym zabaw. Piękna sala w Dolinie Szwajcarskiej przedstawiała pracownię malarzką, na ścianach rozwieszone stosowne dekoracje, palety, patery i obrazy różnego rodzaju, moc światła i kwiatów, reflektory grały barwami tęczowymi, a muzyka ukryta za krzewami zielonemi, do hulaszczego mazura, albo do sentymentalnego walca wzywała. Przez salę przepływał tłum barwny, połyskiwały stroje różnych narodowości i epok, rycerz średniowieczny podawał dłoń damie z czasów Cesarstwa, nie wahał się jakiś markiz z dworu Ludwikowego ująć ręki chłopczki polskiej i puścić się z nią dziarskiego mazura. Do wejścia na salę zapraszał uprzejmie, zamieniony w posąg gliniany, pan Wasilkowski, artysta-malarz, wychylający się z zieleni drzew i krzewów; karykatura artysty doskonale wykonana, secesyjnie pojęta, od razu w dobry humor gości wprowadzała.

Wysoka, zgięta wpół figura gospodarza balu, podobna do tyki chmielowej, ze stosownym ruchem rąk, wskazującym wejście, tyle humoru miała w sobie, że któżby się cofnął i nie przestąpił progu? któżby na chwilę mógł wątpić, że nie porwie go szal rozweselonego tłumu, że nie zapomni o kłopotach i troskach

życia codziennego? To też bal artystów mile po sobie zostawił wspomnienie, a ma już utartą tradycję, i ani razu nie zawiódł pokładanych w nim nadziei.

Wszystko bo się składało na to, by dobrze się bawić: sala pięknie ozdobiona, reflektory zmieniające barwy światła, mające w sobie coś mistycznego; piękne, nieraz przepyszne kostiumy, muzyka dobra, a nadewszystko — gościnność gospodarzy i umiejętność pokierowania zabawą. To też nie dziw, że powtórzyć się ją zacheiało. I oto w dni kilka, w tej samej sali Doliny, zakotłowało się znowu i zabarwiło od tych samych strojów jaskrawych mężczyzn i kobiet, z tą tylko różnicą, że każda z niewiast obowiązkowo powinna była mieć maseczkę na sobie, do której zdjęcia haśle godzina dwunasta dawała. Dopóki jednak twarze niewieście pokryte były maskami, swobodniej można się było w zaloty (*flirt*) bawić, panie do tańca zapraszały same kawalerów, wale się kołysał, intrygowano się wzajemnie, a gdy na dane hasło masечki zniknęły — tu i tam wesoly śmiech zabrzmiał, że się nie poznano, że się jakaś intryga udała. Wzdłuż i wszerz sali przechadzała się poważna postać pani Kaftalowej z notatnikiem

chowa, jak życiem całem dowiedzie mu miłości.

Ale jak mógł żądać od niej, by czuła się szczęśliwą?

Czy sądził, że owe zakłęcia miłosne, tak gorąco powtarzane, owe pocałunki namiętne, składane na jej ustach—to dla niej dość było szczęścia?

Być może, że tak sądził. Bo więcej nad to nie jej nie dał, a przysięgał, że uczynić ją szczęśliwą, stało się jedynem pragnieniem jego życia.

Więc cóż? Czy tak myślał istotnie, i ztąd ten rozdźwięk między nimi, którego usunąć już nie w jej mocy? Bo przecież nie może mu powiedzieć: Weź mnie z sobą, kiedy kochasz, nie skazuj na wieczną tęsknotę, bo w ślad za nią, jak widmo, staje zwątpienie i jak wąż do serca mego skrada się nieufność ku tobie...

Biedne dziecko! Umysł jej objąć tego nie mógł, dlaczego ten człowiek słowami kochał ją tak gorąco, a uczynkami odtrącał bezlitośnie, dlaczego obiecał żyć dla jej szczęścia — a gotował cierpienia?

Dokąd zmierzał? czego chciał? dlaczego stanął na drodze jej życia i dalej tą drogą iść nie pozwolił, a wspólnie z nią iść nie chciał?

Jaki przeznaczył kres tej wędrówce, na którą ją skazał, a którą może bezwiednie usłał jej cierniami?

Czy droga, na którą zepchnie człowieka uczucie wielkie, czyste, bezinteresowne, czy droga taka może zawieść na manowce? Czyby pozwolić na to mogła sprawiedliwość Boża, do której odwoływać się nauczyła ją jeszcze niegdyś — w dzieciństwie — jej matka?

O święta!...

Odeszła! Już tyle lat, jak jej nie było! Ale miłość matczyna jeszcze z zaświata opromie-

niała jej życie! Pomimo rozlicznych tęsknot, do brze jej było dotąd na świecie!

W takich czystych źródłach kapala się jej dusza! Taka jasna droga roztaczała się przed nią i wiodła do upragnionego celu!

A teraz?

Jakto? Czy możebne, aby obraz ukochanego człowieka na życie padał ciemną plamą? Czemu z tej miłości świetlanej padał cień czarny i długi, roztaczał się na jasną drogę jej życia i bezpowrotnie ją zamroczyl?...

Zwiesiła głowę na piersi i milczała.

Kończąc wstał i przybliżył się do niej.

— Gdzie ona jest, ta dawna miłość nasza? — zapytał z żalem.

Dźwięk jego głosu dziwnie ją upajał. Dawne myśli pierzchły.

Zawsze czarował ją swą rzewną mową, może nie ją jedną tylko, może już bardzo, bardzo wiele kobiet, kędyś w świecie szerokim znanych, a teraz już zapomnianych.

Kara czuła, że go kocha, iż jest szczęśliwa jego obecnością.

— Miłość nasza? — rzekła. — Jest. Zawsze ta sama, wielka, niewzruszona!...

Przyklęknął przed nią, patrząc smutnie w twarz jej bladawą, opromienioną blaskiem myśli.

Mówił mało; snadź smutek spłynął i na jego duszę, bo słowa niewypowiedziane zamierały mu na ustach.

Ręką swą białą, drobną odgarnęła łagodnie włosy z jego czoła.

— Co ci jest? — spytała.

— Smutno mi. Za kilka minut pożegnać cię muszę. O miła! gdyby tak nie rozłączać się nam już nigdy! Ale i to przyjdzie! O moja święta! kochaj mnie tylko zawsze i wierz do końca!...

Zdawało się, że głos mu się załamał.

— Wierzę ci i kochać będę... ja wiem, że

tybys mnie nie skrzywdził nigdy, prawda, Zygmuncie?

— Skrzywdzić ciebie? nigdy... o nigdy... — rzekł bezdźwięcznie, i tak, jak mówi człowiek, którego myśli błądzą gdzieindziej...

— Ty rozmyślasz nad czemś, Zygmuncie! — rzekła Kara prosząco, — powiedz, co ci jest? niech nie będzie między nami nic, co by nas rozdzielić mogło...

— O czem myślę? O, żebyś ty wiedziała!... myślę, żeś ty święta taka, a ja żem nie wart tego szczęścia!...

— Nie mów tak! — przerwała mu z wyrzutem.

Ale on mówił dalej:

— Ty nie wiesz nawet, czem dla mnie byłaś!... Dałaś mi tak wiele, wiele szczęścia!...

Nie wiedziała, dlaczego jej to mówił. Dlaczego tak do niej przemawiał, jak gdyby ją żegnał i nigdy już nie miał jej zobaczyć.

Zamilkł... Zdawało się, że otrząsnął się z jakichś myśli dziwnych, którym uległ chwilowo. Powstał z ziemi, całował z mocą jej twarz i ręce, a potem rzekł pospiesznie:

— Komu w drogę, temu czas!... Bywaj zdrowa, a kochaj mnie zawsze!...

Poszedł pożegnać Orwida i wyszedł z pokoju.

Wtedy cały świat zakręcił się przed nią.

Coś, jakby straszne przecucie, zawładnęło jej duszą; przecucie, że go już nie zobaczy.

Wybiegła z pokoju.

— Zygmuncie! — zawołała rozpaczliwym głosem za odchodzącym.

Zawrócił bez wahania. Stanął przed nią i wyciągnął ku niej ręce.

— Czy... czy zobaczymy się jeszcze kiedy? — wybiegło z jej ust mimowoli.

Uśmiechnął się lekko.

— Co ty mówisz, Karuszkol!... Czy mogłaś żyć bezemnie?

w ręku, okiem znawczyni oceniała piękność i bogactwo strojów damskich; na jej mimiczny rozkaz zatrzymywały się markizy i pasterki, wymawiały nazwiska swoje, ołówek suwał się szybko po białej karcie notatnika, wzrok zatrzymywał się na każdym ciekawszym szczególe stroju — i nazajutrz cały świat wiedział o pięknym kostymie pani M., brylantach pani Y, niewymownym wdzięku panny Z.

Ostatnie dni karnawału, zabaw i uciech zakłócone zostały wieścią wojny, hukiem armat, poruszeniem się Dalekiego Wschodu.

Jakibądź obrót wojna weźmie, nie obejdzie się bez strat materyalnych, — sprawy ekonomiczne ucierpieć muszą. Nie mamy potrzeby mówić, że w całym społeczeństwie naszym, kiedy a kiedy, to teraz, powinien być zastosowany system oszczędnościowy. Klęska powodzi zubożyła kraj, wojna do jego wzbogacenia się nie przyczyni. Zwyczaj wyjazdów za granicę i trwonienia tam pieniędzy, powinien być w czasach obecnych ograniczony do minimum. Karnawał minął — nadszedł wielki post i chwila rozmyślań. Dla ludu wiejskiego zbliża się ciężki przednówek... Ku tym najbliższym potrzebom zwróćmy się z oszczęd-

nościami naszymi. Szczęśliwy, kto ma kawałek ziemi własnej — ani woda, ani ogień go nie zabierze. Tymczasem z lekkim sercem pozbywamy się tej jedynej naszej ostoji — i spieszymy do miasta. Pieniądz jest okrągły, więc toczy się szybko, miasto nie daje nam tego, czego spodziewaliśmy się po niem. Dobry w materii onej jest artykuł „Polnego konika“, drukowany w „Kurryerze Codziennym.“

Nie wahamy się go tutaj powtórzyć. Mówi on o „Wysadzonych z siodła“, których, niestety! nie brak u nas. Jest to niby odpowiedź brata bratu, który prosi o wyszukanie w mieście korzystniejszego miejsca, niż zarząd małym majątkiem. Warto może poznać te zdrowe uwagi.

...Kochany Bracie! List Twój doszedł mnie właśnie w chwili, gdy rzucam na papier garść luźnych uwag o *gorzkiej doli tych ludzi, którzy, porzuciwszy pracę na roli, muszą żyć z pracy w wielkiem mieście*. Gdy przeczytasz poniżej skreślone słowa, ochłoniesz od razu i nie będziesz się rwał do miasta. Praca twoja tam, na wsi, choćby nie na własnym kawałku ziemi, jest stokroć wdzięczniejsza, niż, względnie do twego wykształcenia, naj-

lepiej płatna posada w mieście. Siedź więc spokojnie i pracuj, oszczędzaj grosz każdy, abys kiedyś, choćby na starość, mógł nabyć jaki mały szmat ziemi, gdyż bez niej, my, cośmy wyrosli z jej łona, na obcym gruncie, na miejskim bruku — jesteśmy więdnące kwiaty, którym brak słońca i ożywczej rosy.

Wysadzeni z siodła!

Jesteśmy w okresie gorączki parcelacyjnej. Znika średnia własność ziemską, rozsypują się w gruzy ciche dwory wiejskie, owe kolebki tylu pokoleń. Jęknęły pod toporem niebotyczne topole, rozłożyste wiązy, miopachnące lipy, przytłaczając ciężarem swym różnobarwne kwiaty i szmaragdowe trawniki. Wraz z niemi i wieś sama straciła swój wdzięk i poezję, a ludzie, którzy byli duszą tego wszystkiego, wyfrunawszy z gniazd rodzinnych, puścili się na wieczną tułaczkę, jak ptaki wędrowne.

Jedni z nich, ci, szczęśliwsi, zaciągnęli się w szeregi oficyalistów ziemskich, drudzy, zasobni w kapitał, rzucili się na przedsiębiorstwa lub do handlu, lecz większość gorzko oplakuje nierozwagę swoją. Dopiero po fakcie spełnionym, po wyrzuceniu się z majątku, przychodzą do przekonania, że popełnili ka-

— Prawda!... nie mogłabym.

— A widzisz... Ja także bym nie mógł! Powiedz raz jeszcze, tak bardzo mnie kochasz?...

Skinęła jeno głowę. Nie umiała tak wiele mówić o swem kochaniu.

I znowu ją żegnał gorącymi słowy i znowu drzwi zamknęły się za nim, a na jej duszę spłynęło uczucie, jakiego doznaje człowiek, gdy coś bardzo drogiego utracił.

Ale nie poszła już za nim, jeno w swym pokoju padła na kolana, i w ciszy wieczoru rozległ się szept modlitwy, kilkakrotnie powtarzany:

— Boże, nie odbierz mi nigdy tego, co jest mem jedynem szczęściem na ziemi!...

V.

Bywają wypadki, co jak gromy spadają na serce człowieka, a które w życiu jego nigdy nie pozostają bez echa. Wymazać je z życia — niepodobna. Wspomnienia takich wypadków stają się zmorą życia, co towarzyszy aż do grobu, a dusze mniej silne i życiem niezahartowane, łamią się często pod ich brzemieniem.

Pewnego wieczoru do domu Orwida doszła całkiem nieprawdopodobna wiadomość, jakoby Zygmunt Kończyc zaręczył się z jakąś panną z sąsiedztwa. Odrzucono wiadomość tę bez wahania, a jednak w owej chwili twarz Orwida pokryła się śmiertelną bladością, a serce jego wnuczki poczęło słabiej uderzać.

Śmiertelne przerażenie ogarnęło ją potem, gdy w kilka dni później wiadomość tę zaszyszano ponownie. Ale trwało to chwilę tylko. Nie rozpacziała, jeno zbielelały usta wyszeptwała:

— To nieprawda! Kłamią!

Tyle było mocy w tych słowach, że Orwid

w przekonaniu swem się zawahał. Usta jego się poruszyły, ale nie rzec nie mógł, jeno pytającym wzrokiem wodził dokoła.

— Kłamią, po tysiąc razy kłamią! — szeptała zawzięcie.

Nie była już teraz ani potulną, ani cichą. Usta miała zaciśnięte, oczy palające blaskiem złowrogim, rzekłbyś, kobieta silna ogromem uczucia, która stawiała do walki przeciw tym wszystkim, co oszczerstwa rzucić śmieli na człowieka przez nią umiłowanego!

Ostatnia, straszna dla niej próba. Ale przytem ból, rozpacz, granicząca z szaleństwem, całe piekło męki i udręczenia.

Przeszło dni kilka — nadszedł list z Kaliniec, list pozornie taki, jak każdy inny, a jednak taki, co rozstrzygnąć miał o życiu Kary, straszny, bo potwierdzał prawdziwość zaszyszanej wiadomości.

List nadszedł pewnego wieczoru. Kara przeczytawszy go, nie jęknęła, bo przytomność ją odbiegła; nie zrozumiała, co w nim stało, więc spokojnie siedziała na swem miejscu, wzrokiem bezmyślnym patrząc w przestrzeń. Trwało to długą chwilę, podczas której słysząc było jeno ciężki oddech Orwida.

Potem powoli przytomność jej wracała.

Wstała, wyciągnęła przed siebie ręce, i nagle w ciszy rozległ się krzyk jej przeraźliwy, wołający:

— Dziadku! o dziadku mój! — krzyk nieustający, powtarzający się coraz częściej i coraz przeraźliwiej, do jęku strasznego raczej podobny. — Dziadku! niech dziadek ratuje! niech powie, że to nieprawda, że to kłamstwo, kłamstwo, straszne, potworne, ohydne kłamstwo!...

Padła na ziemię nie przestając wołać ratunku, ręce zanurzyła we włosach, głowę uderzyła o posadzkę, miotana dziką rozpaczą.

Tak przeszło dni parę, potem tygodni. Objać tego wypadku rozumem nie mogła.

Halina Ada.

(Dokończenie nastąpi).



W POPIELEC.



Za winy ojców, za własne winy,
Za błędną wiarę, za błędne czyny,
Za myśli zdrożne, myśli niezdrowe
Kajając ducha, uchyłmy głowę
W pokorze!...

Z prochu poczęci, w proch przejdziem marny,
Lecz duch nasz prośbą wielką ofiarny
Wnieśie swe myśli i czucia swoje,
Kędy rozwarte świątyni podwoje,
O Boże!

Więc mocą uczuć, myśli kajania,
Niech się nam jasna droga odsłania,
Czyli to w szczęściu, czyli to w biedzie
Tą jasną drogą niechaj nas wiedzie,
Gdzie czyny!

Gdzie myśl przeczysta, myśl nieskalana
W czynów ofiarnych mocy skapana
W nadziei, wiary, miłości szacie
Zostanie w bólów swych majestacie
Bez winy.

Z popiołów wzięci, z popiołów wstana
Z jutrznią modlitwy, ze świtem rano,
Odwalic kamień, — grobowy kamień
Własnej nicości, własnych omamień
W pokorze...

Z. Morawska.



pitalne głupstwo. Bo wielkie miasto, z jego gorączkową spekulacją, żądzą z bogacenia się i użycia, z rozpaczliwą walką o zdobycie chleba — to grunt najmniej odpowiedni dla tych, co wykołysani szumem lasów i strumieni, wykarmieni ożywczem powietrzem wiejskim, tak zrosli się z ziemią, że poprostu nie umiają zrobić i kroku na miejskim bruku.

Wejdźcie w serce i duszę takiego człowieka, który nie dla spekulacji, lecz z musu, z powodu klęsk i niepowodzenia, zmuszony jest do parcelacji swego majątku, do opuszczenia domu rodzinnego i tego wszystkiego, do czego przywykł, co go otaczało od kolebki, a zobaczycie, jak w ciężkiej chwili przełomu ginie hart ducha, i siła woli, i energia. A cóż dopiero, gdy przybędzie do miasta, gdzie wszystko tak obce, nieznane, gdzie ludzie, jak zwierzęta, wiecznie głodni, wiecznie nienasytzeni, rzucający się do rozpaczliwej walki o suchy kęs chleba... Dopóty ludzi się nadzieją otrzymania posady, dopóki nie wyczerpały się zapasy gotówki — okrucy ojczyzny. Wraz z pustkami w kieszeni, znika wszelka ułuda i rozpoczyna się powolne kónanie na miejskim bruku. Wtedy to, w tych rozpaczliwych zapasach w walce o byt —

łamią się najszlachetniejsze charaktery i wypaczają się pojęcia o honorze i uczciwości... I cóż dziwnego, że pragnąc jako tako żyć, ów człowiek, odarty z wiary w ludzi, w pracę, zachwiany w swych nadziejach, chwytając się wszystkich, nieraz nielegalnych zarobków i przyłącza się do gromady ptaków niebieskich.

Wybrańcami fortuny, w porównaniu z tymi nieszczęśliwymi, nazwać się mogą ci, którzy zajmują miejsca oficyalistów ziemskich, bo przynajmniej nie schodzą z właściwej drogi, nie odrywają się od przyrodzonej pracy na roli.

Krótki ten artykuł „Konika polnego,” choć całkowicie nie wyczerpujący przedmiotu, wart jest zastanowienia się.

Posiadacz kawalka ziemi, były właściciel ziemski, za mały mający fundusz, by z procentu mógł się utrzymać, chciałby, mniej więcej odpowiadające jego dawnemu stanowiisku zajęcie jakieś znaleźć. Lecz więcej jest potrzebujących, niż posad; te zaś, które są i mogą być dane, nie przypadają do smaku obywatelowi z przeszłości. Że zaś nadzieja jest matką głupich, na coś odpowiedniejszego się czeka i — zostaje się na lodzie. Kapitał wy-

czepał się — a żyć potrzeba. Uczciwsi, choć z wzdrygnięciem się wewnętrznym, z bolesną walką, stoczoną z siłą przesądów stanowych i towarzyskich — pierwszej lepszej imają się pracy, a wstydząc się swojego stanowiska, usuwają się w cień, zrywają dawne znajomości i zniechęceni do życia, toczą swoją taczkę; mniej uczciwi, szukają zarobków łatwiejszych, grają rolę panków, zapisują się do klubów i klubików, próbują szczęścia w karty, korzystają niesumienne ze stosunków związanych — i pomału staczają się w przepaść zaguby. Ci nietylko są straceni dla społeczeństwa, lecz jego zakałą i szkodą. Lecz tamtych uczciwych, bądź co bądź, nie mogących się pogodzić z losem, z pracą, która według ich mniemania nie odpowiada dawniejszemu ich stanowiisku — los nie jest do pozazdrośczenia. Gorący pot ich oblewa, gdy jakiś dawny znajomy spotka ich przy ladzie kupieckiej, albo biegających z tęczką pod pachą za ogłoszeniami do dzienników. Nieuzasadniony jest wstyd tych panów, ale kto wie, czy który z ich dawnych sąsiadów, nie udał, że ich nie spostrzega, albo czy głośno dawniej nie wyparł się znajomości.

Znam dwa wypadki podobnego rodzaju.

NASZ KWESTYONARYUSZ MACIERZYŃSKI.



(Ciąg dalszy).

Jeśli ma się wychowanie kobiety współczesnej zmieniać w wielu względach, to przede wszystkim musi być określony plan o wiele szerszy, niż był dotychczas—nie wystarczy nauczanie geografii, historii, tańca i muzyki, gdyż jest to wszystko wobec ogromnego posłannictwa kobiety, jak metoda Fröbela wobec szkoły życia—długiej i mozolnej szkoły.

Wyszkolenie kobiety musi być wyrobione na rozwoju myśli, sądu, wiedzy i czynu, a dotychczas uważano za wystarczające, gdy jako tako pamięć była obciążana i manier wyrobione.

W wychowaniu kobiety ogromny nacisk kłaść trzeba na to, ażeby wyrabiać charakter prawy, szlachetny, silny i zdolny do wyrabiania charakterów w wychowaniu dzieci. Jeśli są żony i matki leniwe bezgranicznie, złośnie zacięte, egoistki, jak upiory wysysające krew drugim, rozrzutnice lekkomyślne, kokietki nieuczciwe, które łamią święte związki, to wszystkiemu winno *złe wychowanie*.

Dobre i roztropne wychowanie zdoła budzące się nalogi wytępić, a uspięne skłonności do dobrego rozbudzić, do zupełnego rozwoju doprowadzić. Tylko potrzeba do tego i matek bardzo inteligentnych i nauczycielek wysoko stojących.

Nie jedna matka widząc te i owe wady charakteru córki, mniej się niemi troska, jak tem, iż córka jej nie ma bardzo cienkiej figury w pasie, lub że cera jej nie jest alabastrowo-błada. Ostatecznie idzie matce tylko o to, ażeby córkę jak najrychlej wydać za mąż, a jak tam sobie mąż będzie dawał radę z wadami charakteru tej córki, o to już mniejsza.

Jedne robią z siebie półbożków, każą się czcić i uwielbiać, niemal wszystko przed nimi na kolana ma padać; inne, chcą mieć dom tylko dlatego, aby z niego ciągle ulatać, a po

za ściany salonu i jadalni nie przejść ani razu, przypuścimy, do kuchni lub spiżarni.

Znam panią, która sceny robiła mężowi, gdy ją poprosił o przyszycie guzika do białej—byłam świadkiem tego, jak do mamy, grającej na fortepianie, przyszło bobo dwuletnie i ciągnąc ją za suknię, prosiło z płaczem: Mamusi! daj!...—bo więcej mówić nie umiała; ale czuła mama uderzyła silnie dziecko za to, że jej grać przeszkadza.

Czyż nie dowodzą podobne przykłady, aż nadto wymownie, że wychowanie pań nie da żadnej rękojmi, bo jeszcze nie wyszlachetni duszy kobiecej i nie wytworzy prawego charakteru.

Ciekawy jest objaw w Galicyi w tem, iż nauczycielki ludowe wychodzą za mąż daleko lepiej, niż niejedne panny zamożne i posażne. Jest to dowodem, że mężczyźni poznali czem są żony wykształcone i jakie to dobre są z nauczycielek matki!... Każda nauczycielka sama przez to, że pracę poznała—umie potem i pracę domową uszanować. A chociaż wykształcenie w seminariach nauczycielskich w Galicyi jeszcze nie stoi na wysokości zadania, przecież przełamuje wiele wad dawnych u kobiet, a bądź co bądź daje szeregi postępowych i zacnych pracownic.

Psychologia i pedagogia muszą być dobrze znane każdej kobiecie, ludoznawstwo, ekonomia, rozwinięcie estetyczne, a nawet i filozofia choćby najpopularniejsza, to są nauki, o których, niestety, mało myślą rodzice, a które mogą z „puchów marnych“ wyrobić „kapłanki i mistrzynie życia“.

Co do tradycji dawnych rodzinnych i domowych, to wiele z nich, jak talizmany powinno się przechowywać i następnym pokoleniom dawać. W nich tkwi indywidualność i siła życia narodowego, one mają odrębną swą cechę, urok niewypowiedzianie piękny i zastosoane w życiu rodzinnym, życie to umilają. Jednak—niech kto nie sądzi, iż z zachowaniem tradycji łączą się przesady, zabobony lub t. p. rzeczy. Bo znam osoby, które, jak powiadają, wedle tradycji rodzinnej, w poniedziałek nie wyruszają z domu,

w piątek nie wezmą się do nowej pracy, gdy kichną we środę, przeczuwają nieszczęście i t. d. Gdy im się chce to cokolwiek rozumowo wyjaśnić, odpowiadają: Tak mama i babcia robiły—to tradycja!

Inne, jak mówią, także wedle tradycji zachowują to przekonanie, iż „chłop zawsze chłopem“, że co nie jest z rodu szlacheckiego, szlachetnem być nie może, że co z „lepszej krwi“ nie może się brać do pracy zarobkowej! Więć jeszcze nie było zdarzenia, ażeby córka, choćby ubogiego urzędnika, „szlachcianka z rodu“, zechciała wyjść za mąż, dajmy na to za rzemieślnika, choćby on był najszlachetniejszy i wykształcony. Córka mieszczanina, kupca i przemysłowca, woli wyjść za urzędnika z lichą pensją, byle się nazywało, iż jest „urzędniczką“, jak zostać żoną szewca lub krawca, bo to zawsze klasa poniższa i odepchnięta.

Dla takich „tradycyjnych“ zapatrywań, nie rozwija się w Galicyi przemysł i handel, kraj tonie w nędzy, a winny temu—kobiety, bo one powinny iść naprzód, zerwać zastarzałe okowy, nie gardzić pracą, lecz cenić człowieka energicznego, który odważył się nie być urzędnikiem, one w dzieciach powinny wyrabiać to przekonanie, iż żadna praca nie jest niska, ani żadna nie plami.

W pewnym towarzystwie młoda panna zajęta była cały wieczór przystojnym, eleganckim tancerzem. Rozmowa toczyła się poważna, temat był zajmujący, bawili się oboje wybornie. Po kolacyi wreszcie panna pyta:

—Więc pan artysta?

—Nie pani... Jakkolwiek zawód mój do pewnych granic sztuki sięga, jednak artystycznym zwać się nie może. Jestem słuszarzem.

Panna już ani słowa nie przemówiła i nie chciała widzieć do końca wieczora nieszczęsnego—nie-artysty.

Ileżby jeszcze można powiedzieć! Lecz Redakcja ręce załamie, gdy takich żon, jak ja, stanie 40 z odpowiedziami, „Bluszcz“ chyba przez rok cały będzie umieszczał Kwestyonaryusz, a więc—do końca!

Raz, z pewną znajomą mi a bogatą damą wszedłem do sklepu. Płacąc za jakiś kupiony przedmiot, dama owa zbliżyła się do kasy. Nagle zauważyłem, że jej się brew dziwnie zciągnęła, a młoda kassyerka miała spuszczone oczy, wydając resztę pieniędzy. Rozeszły się, nie patrząc na siebie. Dowiedziałem się później, że to były dwie przyjaciółki. Ojciec panny przy kassie stracił był piękną fortunę i umarł. Paniąkę los mია, jak wiatr liściem jesiennym. Przyjechała do miasta, po długich staraniach i przemieraniu z głodu, udało się jej znaleźć w pewnej dystrybucji miejsce kassyerki. Dwie przyjaciółki spotkały się po paru latach niewidzenia—i—poznały się, lecz uboga teraz dziewczyna nie śmiała wyciągnąć pierwsza ręki do przywitania się, powstrzymała ją od tego znamienne zmarszczenie brwi kobiety szczęśliwszej.

Drugi raz miałem taki wypadek. W salonie pewnej damy poznano mnie z hrabią X. Człowiek to był lat pięćdziesięciu, towarzyski, dobrze wychowany. Nie bywaliśmy u siebie, choć poznaliśmy się bliżej, to tu, to tam, na różnych rautach i balach się spotykając. Pan hrabia gonił resztkami fortuny—aż stracił wszystko. Nie czując już ziemi pod sobą,

a ptakiem niebieskim być nie chcąc, nie mogąc zaś zająć żadnego dobrego miejsca, znalazł się za stołem kupieckim w pewnym małym sklepiku na drugorzędnej ulicy. Wypadek zrządził, że zaszedłem po jakąś bagatelkę do tego kramiku, kręciła się jakaś tam niewiastka, a że było paru kupujących, ja zaś spieszyłem się, zawołała do drugiego pokoju na pana Leona, by mi żądany przedmiot podał. Tym panem Leonem był mój hrabia. Stał przedemną i płomienie go oblały. Jakże się zdziwił, gdy serdecznie wyciągnąłem rękę do niego. Kupiłem pudełko zapalek, a żegnając go, posłyszałem, jak mi do ucha szeptał:

—Nie zdradź mnie pan. Nikt nie wie, że ja tu jestem. Ale trudno—straciłem wszystko, teraz zamiast żyć po łajdacku, za bary wzięłem się z losem. Nie zdradź mnie!...

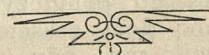
Czy rozumiecie?...

Postąpił uczciwie, wziął się do pracy i wstyd mu palił czoło. Ogromna jest siła przesady! Ten człowiek pracował i—cierpiał. Tak mu chodziło jeszcze o tych ludzi, których dłoń ścisła, a którzyby dłoń tę cofnęli, widząc go sprzedającego—zapalki.

I jakież z tego morał?

Oto ten, że ci, którzy na własnym kawałku ziemi wyżyć nie umieją, którym się ananasów zachciewa, gdy pietruszka wystarczy powinna, którzy zapominają o cudownej sentencji Jana Kochanowskiego, że „ten pan zdaniem mojem, kto przestał na swoim“,—dla złudy wyzbywając się ojcowizny, dającej wprawdzie chleb czarny, ale własny, nie wyżebrany—są nie tylko narażeni na ciężką walkę o byt w przeludnionem i tak mieście, lecz bolesny bój toczą z nie tak łatwo wykorzestnionym dyablem przesad; pot gorący oblewa ich czoła, głupi wstyd na twarz występuje, przy lada spotkaniu się z człowiekiem ze sfery, z której wyszli dobrowolnie, goniąc mamiące widmo lepszego bytu. Wciąż słyszymy narzekania na rolę niewdzięczną, na ciężką pracę przy niej, niebaczną na smak wody z własnego źródła, na słodycz chleba z własnego zboża. Trud, praca, kłopoty i niepowodzenia, bywały zawsze i będą zawsze; pamiętajcie jednak o szczęściu... za górami, ulżymy łatwo w tych troskach swoich i przestaniemy być marnotrawnymi synami.

Kazimierz Gliński.



Teraz może najciekawszy ustęp Kwestyonaryusza — spowiedź o mężach!...

Ciekawe zrobiłam doświadczenie i na licznych przykładach je oparłam, a to, iż są tylko dwa rodzaje mężów — albo despota, albo bierny automat. Co więcej, tam, gdzie najszlachetniejszy charakter kobiecy dobry, łagodny, tam mąż zwykle wziął górę, gdzie zaś żona ma bardzo mało przymiotów ducha, uparta, egoistka, zarozumiała, tam mąż jak to powiadają — „stulił uszy.“

Nader rzadkie są wyjątki tych małżeństw, w których obie połowy idą jedną drogą, wzajem się dopełniają, duchowo wysoko stoją i ani „pan domu“ tyranem nie jest, ani „pani domu“ absolutyzmu nie zaprowadza.

Kobiety intelligentne istotnie, o charakterach prawych, nie sięgają nigdy po berło panowania, więc i nie zamieniają mężów w posłuszne figurki; ale przeciwnie dzieje się z paniami, które wniósłszy trochę posagu, dały w dodatku pełno kaprysów i wad.

Co do mężczyzn — niestety, ta sama historia. Szlachetny, prawy, który nie chce i nie umie kobiety niewolić, nie mogąc sobie dać rady z uporem żony — ulega. Samolub, pyszałek, wygodniś bez względu na drugich — robi z siebie półbożka w domu i wszyscy muszą korzystać się wobec jego „praw!“

Drugie nadzwyczaj ważne doświadczenie jest z innego zakresu. Oto tam, gdzie żona zarabia — mąż najczęściej opuszcza ramiona, lub co gorsza zupełnie leniwieje. Znałam takie wypadki, gdzie mąż na pierwszego zabierał samowolnie pensję żony na swój użytek, a ona z płaczem ledwie jakąś część z tego dla siebie wymodliła.

Wśród wielu kobiet pracujących igłą, jako krawcowe, znam domy, w których mężowie literalnie niczem nie są, spuszczać się bardzo wygodnie na to, iż żona i o mieszkanie, i wikt, i ubranie się postara. Są to ciche tragedye życia kobiet, o których ludzie mało wiedzą, a nad którymi zdaliby się bardzo obszerny osobny kwestyonaryusz.

Co do rozczarowań w małżeństwie, tak często wspomnianych przez egzaltowane i nie dość wykształcone osoby, rzec mogę śmiało, iż w istocie między ludźmi poważnie myślącymi nigdy ich niema, dlatego, iż poważnie patrzące, ani na ślepo nie idą za mąż, ani nie spodziewają się w mężach znaleźć istoty nad-ludzkiej.

Ja poznałam doskonale charakter mego męża za czasów narzeczeństwa. Widziałam cnoty, zauważyłam pewne ujemne rysy. Kochając wybranego, wiedziałam, że kocham człowieka, a więc trzeba było się tylko umieć przystosować do pewnych ustępstw i znaleźć zupełny spokój.

Jeśli kiedy tylko mąż mój okazywał jakieś zniecierpliwienie, niezadowolenie, zrozumiałam, iż początek jest w zdenerowaniu, które jedynie z przepracowania pochodzi. Kilka dni poświęconych na uspokojenie nerwów — przywracało zwykle zupełny spokój.

Ażeby w pożyciu małżeńskim zupełne szczęście było zapewnione, nie wystarcza ani zapas pieniężny, ani przepych w mieszkaniu, ani inne zewnętrzne sprawy. Tu potrzeba harmonii wewnętrznej, stworzonej przez wzajemną miłość, szacunek i dążenie do jednego celu. Gdzie, jak to powiadają, mąż do lasa, a żona do Sasa, gdzie niema szacunku obopólnego, gdzie szalona, namiętna miłość przepalała się rychło, tam naturalnie szczęścia niema i nie będzie.

Są czasem rzeczy łatwe do zreformowania, któreby szczęście przyniosły, a tylko ciemnota, że się tak wyrażę, jednej lub drugiej strony, nie chce tego widzieć.

Znam domy, gdzie mąż poczciwy, prawy, skrzętny, jak mrówka, o wszystko się stara, radby wszystkiego pomnożyć, a wzamian za to lubi mieć dom czasem ożywiony odwiedzinami, miło mu, gdy gości przyjaciel

i wedle zwyczaju z domu przyniesionego, gościnnością się chlubi.

Lecz żona tam właśnie gości nie lubi, ani nie umie przyjąć, ani być dla nich miłą i uprzejmą. Przez to rozdwojenie szczęście gśnie, dom dla męża jest za głuchy i za ciuchy, żona dąsa się na wymogi i zachcianki męża.

Znam znowu dom, w którym całe szczęście męża stanowi życie rodzinne, z żoną, dziećmi przy stoliku, przy czytaniu, przy gawędce, oto jego raj. Tam właśnie pani jęczy i płacze, że jest, jak zakonnica zamknięta, że jest w niewoli trzymana.

I niechże kto powie: Rozczarowałam się! Nie rozczarowaliśmy się wcale, tylko oboje nie umieliśmy psychologicznie siebie poznać, a teraz narzekanie.

Podstawą pożycia małżeńskiego w szczęściu, jest *prawość charakteru*. Więc przed słubem badać należy rysy charakteru, a nie oczy, kieszeń, głosik do śpiewania...

Jakie wady podkopują szczęście małżeńskie?

Obopólne!... Liche charaktery, ludzie-zwierzęta depcą święte węzły Sakramentu, niszczą życie i z domów rodzinnych robia jaskinie czyszcowych ofiar, ale nie tylko jedna strona upada i grzeszy. Do tych ludzi wolała Żmichowska tak pięknie:

— O! biada wam, biada... Temu, co nie podniósł,
I tej — co upadła!...

Jeśli mężczyźni czują się wyżsi i silniejsi od kobiet, niechże je podnoszą i dźwigają z nizin i ścieżek kurzem zasypanych.

Jeśli kobiety wiedzą, czym w małżeństwie są mężczyźni źle wychowani i nie wyrobieni szlachetnie w charakterze, to niech swych synów tak wychowują, aby rzec mogły śmiało, iż dadzą kiedyś nowym rodzinom najlepszych ojców i mężów.

Kwestyonaryusz robi krok ważny — otwiera wrota do dyskusji, jeszcze prawie u nas nie poruszanej, o której dopiero, jakby z nieśmiałością ta i owa powieść zaczęła szeptać. To jednak trzeba wiedzieć, iż sprawy tak obszernej i ważnej Kwestyonaryusz nie wyczerpie, ponieważ zakres jego zamknięty. Gdy jednak początek zrobiony, miejmy nadzieję, dalsza praca pójdzie ruchem niewstrzymanym. Po Kwestyonaryuszu — gdy się wiele nowych myśli wyłoni — trzeba będzie dalej pracować i rozmyślać nad tem, w jaki sposób kobietę polską podnosić wyżej i z zaufaniem powierzać jej kierownictwu przyszłość narodu — wychowanie następnych pokoleń.

Obyśmy ze świata wymarzonego bohaterki w powieści, przeszli w świat czynów istotnych i nie kolebali kobiety na piękną lalkę, lecz na apostołkę odrodzenia!

Doświadczona, ale nie rozczarowana.



HISTORIA KOBIETY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpińską.



(Ciąg dalszy).

W VI-ym wieku przed Chr. ma miejsce zajście niezmiernie zajmujące w dziejach umysłowości greckiej, a kobieta gra w niem prawie współrzedną rolę.

Z Samos, gdzie wówczas rządili tak zwani tyrannos, niezadowolony z państwowego ustroju mędrzec wędruje do Krotony, kolonii

greckiej na południu Italii. Myśliciel ów, za razem socyolog i filozof, marzy o takim społeczeństwie, gdzieby u szczytu i steru stała arystokracja nie ze krwi, złota lub żelaza, lecz z ducha, — arystokracja cnoty i mądrości. I nie tylko marzy — ale działa, a przeobrażenie społeczne rozpoczyna nie od przewrotu, lecz od wytwarzania takich nadludzi. Szkoła jego, choć twarda i ciężka, bo obowiązująca do ćwiczeń praktycznych takich, jak długie milczenie, ścisłe posłuszeństwo, skromna powściągliwość, znajduje szybko licznych adeptów i wkrótce wydaje zastęp mężów światłych i prawych, których od imienia mistrza zwano Pytagorejczykami. Moralny wpływ tych mężów był tak wielkim, że — rozcuchając się po licznych koloniach greckich, rządili niemi nie piastując naczelnych urzędów, samą tylko powagą swojej mądrości i cnoty.

Niestety, musiała przyjść reakcja. Przez ćwierć wieku zaledwie zepsute społeczeństwa wytrzymały pod rządami cnoty, a potem już się zjawili oponenci, za którymi — jak zwykle — tłum pobiegł owczym pędem. Skończyło się na tem, że najznakomitszych uczniów czcigodnego Pytagorasa wymordowano, i szkoła upadła jako stowarzyszenie, a utrzymała się tylko jako filozoficzny systemat.

Niemniej jednakże z epizodu tego pozostała ludzkości korzyść nieśmiertelna, ta — którą jej przynoszą zawsze wszyscy bohaterowie wiedzy i cnoty, choćby przez współczesnych wzgardzeni i zgładzeni na pozór bez śladu, a tą jest zatwierdzenie żywym, realnym, poglądowym przykładem tej, tak zapoznawanej i zaprzeczanej prawdy, że człowiek doskonałym być może — i potrafi.

Taki przeświatły i przeszlachetny nadczłowiek, jak Pytagoras, nie dzielił duszy ludzkiej na męską i żeńską, skarbnicę swej mądrości otwierał dla każdego, nie patrząc, czy ma włos długi czy krótki, naukę swą, moralną, społeczną i filozoficzną, wykladał adeptom płci obu. A pierwszym jego tryumfem po przybyciu do Krotony było, że wskutek jego przemówień kobiety wyrzekły się głównej swojej wady, głównej swej słabości, głównej przeszkody do doskonalenia się — próżności powierzchownej. I czynem stwierdzając postanowienia, swoje dotychczasowe okowy i bożyszcza — stroje i klejnoty — zebrały, przyniosły i złożyły w dobrowolnej ofierze na ołtarzu bóstwa.

Dopuszczając kobiety do źródła wiedzy na równi z mężczyznami, Pytagoras jednakże we względzie kolleżeństwa płci obu kierował się roztropną ostrożnością i wygłaszał swe nauki osobno dla jednych i dla drugich. Później już on sam zajął się specjalnie uczniami, podczas gdy uczennice w duchu mistrza kształciła małżonka jego, mądra i uczona Theano.

Kobieta umysłowo niepospolita nie była już wówczas rzadkim wyjątkiem i nie tylko w Pytagorejkiej szkole znaleźć ją było można. I tak, mniej więcej w tym samym czasie, na wyspie Lesbos zakwitła nieśmiertelna chluba rodzaju niewieściego, poetka Safo. Ta nie tylko tworzyła wzruszające liryki i porywające erotyki, nietylko wynalazła nową formę rymiczną, od jej imienia saficzną strofą zwaną, ale przede wszystkim stała się środkowym punktem ruchu kobiecego, przeważnie filozo-

ficzno-literackiego, który wartkim dopływem podążył do wspaniałej rzeki cywilizacji helleńskiej — i sprawił, że w jej harmonijnym koncercie nie zabrakło tej wysokiej nuty, jakiej nie miały przed nią poprzednich narodów cywilizacye, dźwięków kobiecego głosu pozbawione.

Dokoła Safony zgrupowały się inne przewodniczki umysłowego ruchu kobiecego, przeważnie słuchaczki jej szkoły, jak Demofila i Erynną, także Lesbijki, Eunika z Salaminny, Telezilla z Lokrydy, Anagora z Miletu i inne.

Ruch ten był jedynie umysłowym; społecznym być jeszcze nie mógł — i nie potrzebował, bo wobec słabego zaludnienia kraju, kobieta była tak wielką wartością państwową, jako twórczyni i zachowawczyni rodziny, że dość jej było stanowisko to podnieść intelektualną kulturą, aby mieć na niem powagę i znaczenie, dorównyujące męskiej pozycji w sprawach publicznych.

Mężczyźni wobec tego ruchu zachowywali się najpierw w ogóle dość przychylnie. Safonę tytułowali dziesiątą muzą, oddawali sprawiedliwość poetkom, filozofkom i innym uczonym kobietom. Ale później widocznie, że zaalarmowało się ich poczucie męskiej wyłączności, bo nastąpił zwrot ku dawniejszej nietolerancji i zaczęła się walka, a raczej wprost prześladowanie, wyrażające się ostrą krytyką intelektualności kobiecej, i pogardliwą względem niej ironią, której pełno w utworach męskiego pióra, tak w ustępach epizodycznie wtrącanych w dzieła innej treści, jak i w celowo przeciw kobietom wymierzanych satyrach. Najzaciętszym wrogiem kobiet i nie tylko wykształconych, ale wszystkich w ogóle, był Symonides z Amorgos, poeta satyryk, który ze złośliwością nieraz grubiańską przypisywał płci niewieściej wszelkie możliwe wady i przywary.

Niewiadomo, jakim byłby ostateczny wynik tej walki, gdyby nie okoliczność dziejowa, która, dając mężczyznom pole do rozwinięcia specjalnej ich działalności i wykazania niezaprzeczonej w tym względzie wyższości znów bezspornie poddała słabą i bojaźliwą mocnemu i odważnemu: rozpoczęły się wojny Perskie.

Wojny te, rzeczywiście bohaterskie ze strony Greków, ponieważ nie o zabory im szło nie o rabunek, lecz o obronę ojczyzny od wrogiej napaści słusznie i sprawiedliwie podniosły znaczenie mężczyzny, jako pełniącego czyn najwyższy ze wszystkich ludzkich czynów — ofiarę własnego życia za dobrą sprawę. Znaczenie to wzrastało jeszcze bardziej wskutek tego, że ci bohaterscy obrońcy ojczyzny byli także decydującymi działaczami w jednym z najważniejszych przejść w dziejach ludzkości, — w walce greckiej świetnej cywilizacji z perską przeżyta ciemnotą, — w zapasach o pierwszeństwo, między kończącą już swą historyczną rolę, Azyą zgrzybiałą, a poczynającą swój zawód dziejowy, pełną sił młodych Europą.

A kiedy na tło tak szerokie wystąpiły takie epizody, jak Maraton — Salamina — Termopile; zarysowały się takie postacie, jak Milcyades — Temistokles — Leonidas, — wtedy nie dziw, że na tym tytanicznym terenie ko-

bieta ujrzała się tylko ozdobną gałązką mirtu i wawrzynu, tylko miłą nagrodą dla bohatera na chwilę przelotnej ciszy pomiędzy dwoma huraganami.

Siła fizyczna i męstwo waleczne, to są realne, niepożyte moce, trwałe w swej żywiołowej potędze, dopóki trwa ludzkość sama, mające w pierwszym względzie prawo pierwszeństwa pomiędzy przymiotami człowieka. Bo dopóki na świecie stanie złych ludzi, dopóki zdarzać się będzie, że ręka niesprawiedliwa sięga po czyjeś dobro lub kark czyjś gnienie, dopóty musi silny i mężny nadstawiać pierś swą za wszystko, co słabe i bojaźliwe, dopóty będzie istnieć i stać na świeczniku wojowniczość rycerska.

My dziś na wojnę, — jak zresztą na wszystko — patrzymy nerwowo, nastrojowo, a tem samem subiektywnie i jednostronnie. Reakcja przeciw dawnemu ubóstwianiu dzieł wojennych doszła do takiej przesady, że gotowimy wszystko chcieć poświęcić dla miłego spokoju. Potępiamy bezwzględnie wszelką orężność, a niepamiętniśmy na to, że bywają wojny nie tylko tak konieczne, jak każdy akt samoobrony, każdy obowiązek ochrania dóbr swoich materialnych lub moralnych, ale bywają nawet piękne, heroiczne i święte. Nie sama wojna jest rzeczą potworną, ale ta niesprawiedliwość, która ją wywołuje, ale to okrucieństwo, które z honorowej szabli, broniącej słusznych praw, czyni podły nóż zemsty, nienawiści, chciwości.

Moralny postęp ludzkości wiele już zrobił w kwestyi wojny, skoro wytworzyła się o niej i spopularyzowała tak niekorzystna opinia. Sama już owa zbyt uogólniająca przesadność tej opinii daje miarę wielkości duchowego wstępu, jaki wzbudza w teraźniejszych ludziach wyobrażenie mordu i gwałtu. Ale te pojęcia — to dopiero teoria; faktycznie mordy i gwałty osłonięte dyplomacyjnemi fałszerstwami istnieją, pomimo tłumionego krzyku coraz bardziej uświadamianych narodowych sumień. Przyjdzie jednak do tego z postępem cywilizacji, że teoria czynem się stanie — i wojny nie będzie. Ale owo „nie będzie“ nie obejdzie się bez wyjątków od prawidła. Może być, że usiłowania sądów rozjemczych, czy jakiejś innej skutecznej interwencji, doprowadzą wojnę do minimum jej częstotliwości, czasu trwania, ilości strat, szkód i ofiar, odejmą jej niehumanizm i okrucieństwo; ale póki człowiek — człowiekiem, póty zatargi i spory zdarzać się muszą pomiędzy współzawodniczącymi z sobą o coś gruppami ludzi, i póty wynikać z tego będą konflikty narodowe lub stronnice o takim napięciu, że żaden międzynarodowy kompromis nie zdoła powstrzymać rozpętanych namiętności — a tylko najprostsza forma procesu — mocowanie się fizyczne — będzie mogło rozstrzygnąć sprawę.

(Ciąg dalszy nastąpi).



POPIELEC.



Jeszcze jedno okrażenie,
Jeszcze jeden dźwięk kapeli;
Jeszcze uśmiech i westchnienie,
Jeszcze żywiej oko strzeli...
Jeszcze jeden skręt szalony...
Nagle... północ — hasło zgonu...
I karnawał zamęczony
Runął w kąt salonu.

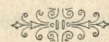
Leży blady, zlany potem,
Słabe piersi ledwie dyszą —
Z szatek barwnych, szytych złotem,
Zblakłe strzępy smutnie wiszą...
Wreszcie sennym rzutem wzroku
Objął pustą salę, sprzęty,
Ziewnął, stęknął — i wśród mroku
Chrapnął, jak najęty!..

Wówczas cichym, wolnym krokiem,
Przygarbiony, siwogłowy,
Z twarzą chmurną, groźnym wzrokiem,
Wchodzi dziadek popielcowy;
Nad chrapiącym staję trzpiotem,
Kręci głową, oczy zmrzuza,
Coś tam szepece, gdera — potem
W worku dłoń zanurza...

Wyjął, splunął i tak sapie:
— „Nahasał się pan bez liku!
Schlastał nóżki — no — i chrapie!...
Spijże sobie, mój młodziku —
A — byś wiedział, coś zacz — naści
Przystrojenie popielcowa!...“
Przy tych słowach popiół z garści
Sypnął mu na głowę...

„Dosyć szalu i uciechy!
Dosyć płasów, snów i bredni...
Wrócił szary trud pod strzechy,
A po godach — znój powszedni!
Do roboty ludzka glino!
Czas już przestać być pieszczochem!
Z prochuś powstał, mój chłopcyno,
I staniesz się — prochem!...“

Artur Gliszczyński.



DROBNOSTKI.



(Dokończenie).

Człowiek, obdarzony umysłem ukształconym, umie każdą drobną radość podnieść do potęgi. Umiłowanie i rozumienie sztuki, choćby w małym zakresie, powiększa przyjemność każdej wycieczki zamiejskiej. Dla osób zmuszonych żyć w mieście, obznajmienie się z jaką gałęzią wiedzy i zainteresowanie się nią, powiększy ich zasób radości dziesięciokrotnie.

Jesteśmy zbyt skłonni do pogardzania przyjemnościami, napotykanymi na drodze życia codziennego, a wdychamy zawsze do tych, które nam się wydają niedościgłe. Zazdrościmy tym, którzy mogą odbywać dalekie podróże, lub którzy zwiedzają odleglejsze strony własnego kraju a nie znajdujemy żadnego upodobania w małych wycieczkach, przystępnych dziś prawie dla wszystkich.

Czyż mieszkaniec miasta nie powinien korzystać ze sposobności, by użyć kilkogodzinnej przechadzki wiejskiej, lub spaceru w pięknej okolicy, lub odwiedzenia przyjaciela w jego ogródku? Najczęściej albo pogardzamy temi drobnymi przyjemnościami, bo są zbyt zwykłe, albo się od nich odwracamy z niechęcią, bo trwają zbyt krótko. Dla umysłu ukształconego, dla głębokiego badacza, niema prawie przedmiotu tak drobnego w naturze, który by mu nie dostarczył materiału do rozmyślań lub do podniecenia miłych wrażeń, które pozostawiają mu w pamięci miłe wspomnienia! Tylko strzedz się trzeba, żeby małych radości duchem małym nie szukać, — wtedy drobnostki działają jak trucizna.

Im umysł jest bardziej ukształcony, tem większa jest suma jego małych radości, tem jędrniejszy i zdrowszy smak w ich użyciu, bo od wszystkiego, co niskie i gminne odwróci się, a wdzięcznem i zadowolonym sercem cieszyć się będzie z tych kwiatów wszystkich, które na swej drodze codziennej spotyka.

Drobne grzechy.

Różnica, jaką robimy między błędem a grzechem, wpływa na to, że niedostatecznie rozpoznajemy prawdziwą naturę niektórych drobnych złych nawyków. Często też nie przyznajemy, że to, co ma w sobie istotę grzechu — grzechem jest. Błędy nasze powinniśmy tak samo zwalczać, gdyż bardzo łatwo wyrastają w grzechy. A choćby to były nawet tak nazwane „niewinne błędy,” to pocóż byśmy mieli je w sobie pielęgnować i stawać się przez nie ciężarem dla drugich, jeśli przy pomocy uwagi i dobrej woli, z łatwością możemy ich się pozbyć?

Jak surowo — i słusznie — wychowawcy karcą w młodzieży im powierzonej, wszelkie złe przyzwyczajenia, nieokrzeseane obejście, niedbałe zachowywanie się, marnowanie czasu, niezwracanie uwagi na to, co im się mówiło i wogóle te wszystkie drobne niegrzeczności, które się sprzeciwiają regule dobrego wychowania! A jednak jakże często ludzie dorosli i posiadający samowiedzę, w te same wady wpadają, tłómacząc się, że nie zrobili czegoś w złej myśli, że to tylko jest ich *sposób* zachowywania się, że to tylko złe nawyknienie i t. d., jak gdybyśmy nie powinni poskramiać swoich wad tak samo, jak to dzieciom zalecamy!

Powinniśmy badając w sobie grzech, dojść zawsze szczerze do źródła jego.

Niektóre z tych drobnych grzechów nie mają w sobie zarodków grzechów większych, — choć często zdarza się przeciwnie — lecz ponieważ nam się zdaje, iż w porę zatrzymać się potrafimy i że nikomu to szkody nie robi, tylko nam samym, zatem dajemy folgę złym przyzwyczajeniom lub uczuciom, które z czasem w grzechy przerodzić się mogą.

Mylną jest wiara w łatwość, z jaką małe grzechy pokonać możemy; tylko ciągła i codzienna bacność nad upiększaniem naszego świata wewnętrznego, tylko niepozwalanie sobie na wygodne: „Jeszcze ten jeden raz! wszakże to taki drobiazg!” chronić nas może od smutnych następstw.

Częstym błędem, czy grzechem jest odkła-

danie czegoś na później. Ludzie pracy na wszystko czas znajdują, tylko leniwi i próżniacy nigdy go na nic nie mają. Jeżeli chodzi o ważną sprawę, gdy zwłoka straty by nam przyniosła — rzadziej się to zdarza — lecz w życiu codziennem prawie wszyscy pozwalają sobie na opieszałość.

A jednak ludzie pracy systematycznej ileż przez życie zdziałać mogą!

Czyż wiele pisarzy zdołali by tyle tworzyć, gdyby sobie pozwalali na te ciągle odkładanie pracy i wybieranie chwil swobodnych, a nie pracowali wtedy, kiedy pracować byli powinni?

Czyżmy natychmiast, co nam czynić wypada, a w tej walce z opieszałością wzmocniły charakter, i zapanujemy nad złemi nawykami.

Bywają też pozorne zajęcia, które są tylko zamaskowaniem próżniactwem i stratą czasu. Czy to będzie próżna gadanina, czy bezpożyteczne czytanie, czy bezpożyteczna robota! A ileż to godzin i dni marnuje się w ten sposób bez pożytku dla nas samych, bez pożytku dla drugich.

Kobiety, które mają dużo czasu wolnego, narażone są na tę wadę, a przy bezsilnym i słabym charakterze łatwo wpaść mogą w zamiłowanie przyjemności próżniactwem, albo też w żądzę zabaw i podnieceń, by zabić nudę, wywołaną próżniactwem i życiem drobiazgowem.

Kto nie ma właściwego, określonego obowiązku, sam go sobie wyszukać powinien; godziny zajęcia należy oznaczyć, oddać się całemu sercem tej pracy, którą uznamy za wartą, by jej czas poświęcić — a przed lenistwem i opieszałością bronić się, jak przed nieprzyjacielem podstępny, który nas i dalej, i coraz głębiej w zło zaciąga.

Powolność i umiłowanie wygody uważamy zbyt często za drobne grzechy, na które sobie pozwalamy, usprawiedliwiając je, a jednak rzadko się zdarza, by nie pociągały za sobą złych następstw! Zaczyna się od upodobania w wygodach, niechęci do pracy, zajęcia się bezpożytecznymi drobiazgami — a z tego wpada się w egoizm, który zadawalnia się jedynie we własnych wygodach; który sobie niczego nie umie odmówić i nienasyconym jest w swoich wymaganiach, który — gdy mu się wodze puści — zmarnuje duszę i ciało więcej, aniżeli którykolwiek z tak nazwanych drobnych grzechów.

Czy można w rzędzie małych grzechów postawić *zły humor*? chyba nie! lecz czemuż to się dzieje, że gdziekolwiek się obrócimy, spotykamy się z drobną działalnością tej nędzy, której się bez wstydu poddajemy, którą jako nie do zwalczenia — usprawiedliwiamy?

Prawda, że zwykle u dzieci tylko spotykamy się z gwałtownymi wybuchami gniewu lub wyraźnymi objawami złego humoru, bo nas nieco powstrzymuje obawa, co ludzie pomyślą, że pozwalamy sobie na takie objawy niezadowolenia. Ale są środki i drogi, za pomocą których dajemy uczuć drugim, że jesteśmy w złym humorze i że żądamy pewnych ustępstw. Usprawiedliwiamy się często złemi manierami, ale czyż obecność kogoś obcego

w takiej chwili, może zmienić szorstkie maniere w uprzejmość i grzeczność?

M. K.

(Dokończenie nastąpi).



W odpowiedzi P. Izabelli Ryxowej.



Przyjmując wdzięcznem sercem „Gwiazdkę,” ofiarowaną nam przez Sz. Panią, w słowach pełnych zachęty i uznania dla kobiet polskich, spieszymy wszystkie razem z podziękowaniem dla Sz. Pani za to podniesienie ducha naszego do wysokiej godności pod mianem „arystokracji ducha narodowego,” jaką niejednokrotnie już przyznali nam wielcy nasi myśliciele, poeci i literaci, a Słowacki wyraził się, że:

„piękność kobiety
„Może w „duchu“ będąc robić cuda
„Lub sama przez się lub w drugą
„Duszę przelawszy się — być w niej siłą, mocą,
„Zaczną bronią w rękę i koleczuga
„Sercu i „słońcem,” które świeci nocą!“

Jeśli zaś jesteśmy choć w części takimi, jakimi nas Sz. Pani przedstawia, to nie nasza w tem zasługa, lecz naszych poprzedników, kobieta polska bowiem zawsze służyła, jako wzór — dzielnością charakteru, wzniosłością ducha, dobrocią serca.

I my też idąc za przykładem naszych prababek, musimy mrówczą naszą pracą i siłą uczucia dla ojczystego zagona, chronić go przed uciskiem niepomysłnych materialnych warunków, które przyczyniają się coraz bardziej do znikania większych własności ziemskich szlacheckich, zmieniających się w drobne osady włościańskie, lub niestety! w kolonie niemieckie.

Serce ścisła się żalem ciężkim na widok padających, pod niszczącą ręką nowonabywców, naszych starych drzew z ogrodów i parków, lub walących się w gruzy dworów i dworków szlacheckich oraz tych wszystkich tradycji, jakie nas wiążą z przeszłością.

I my więc, na wzór naszych prababek, musimy zbroić się w wielki hart ducha do walki z przeciwnościami i zniechęceniem, a tym hartem ducha, — który ma często większą wartość, niż odwaga walecznego żołnierza, — krzepić naszych mężów, braci i synów, przeciśniętych brzemieniem trosk i kłopotów codziennego życia.

W każdym bowiem zawodzie są przykrości i upokorzenia, lecz są i jasne chwile szczęścia — gdy czujemy wewnętrzne zadowolenie z sumiennego pełnienia naszych obowiązków i widzimy owoce swej pracy, która wiedzie nas do upragnionego celu.

Prawdziwe szczęście, o ile ono istnieje na świecie, nie jest zależnem od stanu urodzenia, lub majątku, ale opiera się głównie na miłości, zgodzie i jedności pojęć i dążeń w rodzinie. Zadaniem więc naszym jest „być słońcem” czyli duchem, sercem i pracą nieustanną stać się pożytecznymi członkami swego społeczeństwa, gdyż wielka nauka chrześcijańska mówi nam: „Nie dawaj zbytnio snu oczom twoim, niech nie drzemią powieki twoje; idź do mrówki przypatrzeć się jej drogą i ucz się jej mądrości.”

Tobie Sz. Pani dziękujemy również za przytoczone urywki z listów naszych współrodaczek, pojmujących głęboko swoje obowiązki, oraz za ten przykład „mrówczej pracy,” jaki sama nam dajesz od lat tylu i abyś go nam dawała jak najdłużej jeszcze.

W imieniu Ziemianek

M. Rolicz-Staniecka.



W „Nazarecie.”



W jednym z gmachów po-Dominikańskich przy ulicy Freta pod nr 10, mieści się ochrona i zakład wychowawczy dla bezdomnych chłopców pod nazwą „Nazaret.”

— Pani na „Szopkę” do Dominikanów, czy do Nazaretu? — pyta mnie w bramie wyrostek o sprytnych, ruchliwych oczach.

Poznaje nowicyuszkę.

Skwapliwie wskazuje mi drogę, nietyle powodowany uprzejmością, ile błogą nadzieją, iż wynagrodzę tę przysługę, brzęczącą monetą.

Wechodzę.

Na pierwszym piętrze, w dużej sali, oświetlonej szeregiem okien, mieści się „teatrzyk”, w którym od Bożego Narodzenia do d. 14 Lutego, odbywają się codziennie przedstawienia na dochód zakładu. W dni powszednie jednorazowo, o godzinie 7-ej, w Niedzielę i Święta dwukrotnie, o 4 i 6 po południu. Aktorami są wychowawcy zakładu.

Sala schludna, wybielona, na ścianach poumieszczano następujące sentencje: „Modlitwa i praca człowieka wzbogaca,” „Praca ma koniec, a nagroda nie ma końca,” „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy obciążeni jesteście, a ja was ochłodzę.” Smutna dewiza! — przeznaczona dla ludzi dorosłych, skołatanych życiem i cierpieniem, przyciśniętych troską, zgryzotą, rozterką, słabnących w zapasach codziennej walki. O wiec odpowiedniejszym byłoby w tem miejscu wezwanie Chrystusa:

— Dopuście dziecięczki pójść do mnie! — bo oto tu schronisko dla tych dzieci opuszczonych, przez rodziców zmarłych, lub dla małych, walęśających się na bruku, którzy pod umiejętną opieką zakładu, wyrosnąć mogą na dzielnych pracowników w przyszłości. Chłopcy zyskują dach nad głową, zabezpieczenie potrzeb życiowych, opiekę i kierunek, kształcą się i rozwijają swe zdolności wytwórcze.

Oto oczom moim przedstawia się otwarta szafa, a w niej systematycznie poukładane przedmioty wyrobu wychowawców.

Są tu kapelusze słomkowe, wyroby z drzewa, drewniane szpilki do obuwia, ozdobne ramki, nożyki, kasetki i pudełeczka, artystycznie wycinane lub jaśniejszym drzewem wykładane. Jest nawet obraz świętego malowany. Wszystkie te przedmioty wystawione są na sprzedaż publiczną, a wywieszona karta, objaśnia nas, iż odbywa się na nie loterya, w cenie 20 kop. za bilet. Mało jednak na nią amatorów, a szkoda, bo rzeczy są ładne i godne poparcia.

Ale wracajmy do przedstawienia; oto pierwszy dzwonek...

Rozlegają się dźwięki fortepianu i z brawurą płynie walc, polka, mazur, galopka...

Na dwóch ławach najbliższej sceny, usadowieni mali widzowie, kręcą się i niecierpliwie spoglądają na kurtynę. Resztę sali — krzesła, ławki i proste długie ławy, ustawione po bokach, zapełniają widzowie dorośli. Sala może pomieścić 200 osób, a chętnych nigdy nie braknie. Zrobiłabym uwagę, że teatrzyk taki przeznaczony być winien jedynie dla dzieci i że należy zgromadzać je same, tak, jak się to dzieje podczas zbiorowych zabaw ogrodowych i odprowadzwszy je na miejsce, oddawać pod opiekę zakonnic lub pań dozorczyń. Cóż kiedy rodzice, wszelkich stanów, nie mogą pozbyć się wadliwego nałogu prowadzenia do teatru na widowiska takich maleństw, którym buteleczka i obecność „mamy” jest nieodłączna. Starsi, w przybytku dla dzieci przeznaczonym, zabierają zbyt wiele miejsca, nawet w znaczeniu wprost fizycznym, ale też bawią się na równi z swemi pociechami.

Zapalają światła — drugi dzwonek, niebawem trzeci i kurtyna idzie w górę. Rozlega się czysty, chórny śpiew kolędowy. Scena przedstawia piękny krajobraz włoski.

Na proscenium występuje chłopczyk, pełniący rolę żywego afisza i głośno dobitnie mówiąc, zaznajamia zgromadzoną publiczność z treścią przedstawionej sztuki. Tytuł jej: „Perła ukryta” Rzecz napisana i uscenizowana przez Karola Wiesemana.

I akcja toczyć się poczyna.

Aleksy, syn bogatego patrycyusza Rzymskiego, czując wewnętrzny pociąg do życia wyższego, opuszcza potajemnie dom rodzicielski i przez lata cała tuła się, jako pielgrzym pod przybranym nazwiskiem. Życie jego pełne cnót, pokory, zaparcia, zjednywa mu łaskę Boską; wskutek nadprzyrodzonego objawienia, Aleksy wie że raz jeszcze powrócić ma do domu rodzinnego i tu, niepoznany życia dokonać. Gdy sława jego świętobliwego żywota poczyna się coraz bardziej rozszerzać i głośnie stawać, młodzieniec porzuca tamte strony i powraca do Rzymu. Tymczasem rozpaczeni rodzice, wyczerpali już wszystkie możliwe sposoby odnalezienia swego jedynaka; niepokieszona matka umarła ze zgryzoty, a ojciec dotychczas nie może ukończyć swej boleści i żywi cichą nadzieję, że jednak jeszcze kiedyś syn wróci. Pokój jego stoi nietknięty i niezamieszany przez nikogo, miejsce i nakrycie przy stole codziennie oczekuje przybyścia.

I Aleksy wraca. Wraca, jako pielgrzym — niepoznany w dom ojcowski, przyjmuje u niego gościnę, usługami i życzliwością zdołbywa serce swego prawdziwego ojca, — nie dając mu się poznać. Za dobro, jakie wszystkim świadczy z szczodroty serca swego, służba go nienawidzi, przezywając „lizusem,” dręczy go, obsypuje obelgami, głodzi, więzi w wilgotnej, zimnej izbie pod schodami, ale święty młodzieniec znosi wszystko z poddaniem i ani jedno słowo skargi nie płynie z ust jego. To ich rozzuchwala. Usiłują własne występki zwać na jego niewinną głowę i zachwiać wiarę, jaką pan ich w swym gościu pokłada. Udaje im się na koniec. Nie umiera się tak prędko, jakby się tego pragnęło. Dziesięć lat trwa już męka Aleksego. Więc patrycyusz straciwszy na koniec wiarę w możliwość odzyskania własnego dziecięcia, adoptuje obce i mianuje je swym dziedzicem. W zamieszaniu tego dnia uroczystego, giną srebra stołowe, skradzione przez obłudną służbę, a porzucone w popłochu ucieczki, w izdebce świętego pielgrzyma, zwracają całe podejrzenie na niego. W przytomności całego dworu — Aleksy nie broni się wcale. To utwierdza ich, w słusności swego sądu. Nawet patrycyusz, zawiedziony, łamie rozpaczliwie ręce: „A ja mu tak wierzyłem!” Pod wpływem, ciężącego na nim niewinnie oskarżenia osłabiony i wycieńczony Aleksy chwieje się: chce przemówić — nie może — ślania się. Nawet ojciec uwierzył w jego winę! Pada i bez słowa umiera. Ogólne przerażenie — palec Boży! W zakończeniu wyjaśnia się rzecz cała; — strażnicy dostawiają istotnych winowajców, z fałdów habitu zgasłego młodziana, wypada list: — Jam jest — syn twój — Aleksy!

Zapóźno! Zapóźno na zadosyćuczynienie.

Ale i to przyjsie musi. Ojciec Św. ogłasza wkrótce jego kanonizację, na miejscu domu patrycyusza stanie kościół, a przybrany dziedzic wyrzeka się tego dostojęstwa i zostaje księdzem. Na końcu żywy obraz — apoteoza: Św. Aleksy w niebie, w otoczeniu aniołów i co dziwniejsza wszystkich członków patrycyuszowskiego domu, wszystkich łączących złodziejów, a wszyscy w swych poprzednich ziemskich strojach!

Trudno wymagać od takich aktorów czegoś niezwykłego, a fundusze zakładu, nie pozwalają zapewne na sprawianie kostymów do zmiany, stąd przez ciąg lat 10 widnieją ciągle te same stroje. Charakterystyci żadnej. Zabawnie patrzeć na kilkunastoletnich chłopczków o wesołych, dziecięcych buziach, udających dorosłych spiskowców, wytrawnych w łotróstwie i intrydze. Nie podnoszę tego z zarzutem bynajmniej. Brak perspektywy uczuć się daje, ale winne temu zbyt szcuple rozmiary sali. Chłopcy ruszają się swobodnie, akcentują poprawnie, starają się mówić dokładnie i czysto, choć niektórzy

mają dyalog zbyt pośpieszny, ucinkowy, że tak powiem „zadyszkowy” przez co zamazuje się jasność wyrazów, lub posiadają wrodzoną wymowę szepleniącą, ale wszak zdarza się to również naszym artystom, więc trudno robić z tego zarzut chłopcom-amatorom.

Sama sztuka treścią i ułożeniem przypomina nieco misterya średniowieczne i powiedziała-bym, iż z punktu widzenia pedagogicznego, sztuka wymagałaby przeróbki — przede wszystkim stylowego uproszczenia i usunięcia wyrazów, jak Awentyn, Edessa, Ardea, Prokul i t. p. zbyt trudnych do zrozumienia, tak dla wykonawców, jak i dla słuchaczy.

Dekoracje i kostiumy ładne, czyste i efektowne, kurtyna przedstawia wiejski krajobraz: kościół i plebania, obok zapewne cmentarzyk, murem obwiedziony, bliżej widza biegnie droga piaszczysta i rozlewa się staw, zielskiem porośły, w którym żaby i owady rozpoczynają koncert wieczorny.

Chwila jest po zachodzie. Różowe smugi posłoneczne ściągają się po niebie jasnym, upalnym przezroczem, kładą na liściach, migocą na wodzie. Cisza wieczoru roztacza się dookoła.

I cisza panuje na sali pomimo dwustu widzów.

Dzieci są podniecone: rozszerzone oczęta wlepiają z natężeniem w kurtynę i pytają nieustannie: „Co jeszcze będzie? Mamo, czy to już koniec?”

Główki płowe, oczki duże.

Pulchne nóżki i rączki,

Miłość matek — duma ojców,

Milusińscy — niebożęta!

I dla tych „Milusińskich” rozrywka podobna jest nieoszacowana. Pomarańcze i cukierki krążą z rąk do rąk. Nikt by nie poznał, że jesteśmy w dzielnicy staromiejskiej.

Opuszczaliśmy salę pod dobrem wrażeniem — dzieciaki rozpromienione, rodzice rozweseleni uśmiechnięci lub wzruszeni, mimo to, co dziwniejsza, nie odezwało się ani jedno brawo, w podziękę za grę. Czyżby przez poszanowanie dla sztuki?



Z warszawskiego palacu Sztuki.



Krakowscy pejzażyści.

„Same tylko pejzaże...” — te słowa brzmią jak zarzut, że niema fantazyi à la Stuck, Sascha Schneider czy Podkowiński. Niesprawiedliwe słowa, a tak często można się z nimi spotkać na wystawach pejzażystów, że prawie są równoznaczne z komunalną klasyfikacją: pejzaż, to niższy stopień twórczości artystycznej.

Czem jest pejzaż? obrazem skrawka świata z odrobiną duszy ludzkiej.

Przez najpiękniejszą krainę świata przebiega zwierzę obojętnie, bo patrzy na nią zwierzęcimi oczyma; piękno widzi w niej tylko człowiek-artysta, bo patrzy na nią nietylko oczyma, ale i duszą, uzdolnioną do odczuwania piękna.

W leszczynie, w zachodzie słońca, w zagonie żyta, czy w samotnej brzozie, jest tylko dusza przyrody; w uchwyconym na płótnie obrazie leszczyny, zachodu słońca, czy zagonu żyta jest nietylko dusza przyrody, ale i nieco z duszy artysty, wyrwanej wśród mąk tworzenia dzieła sztuki.

O nie, pejzaż, to nie niższy stopień twórczości artystycznej, tylko...

Tylko abecadło sztuki malowania, mało abecadło, wszystkie tajniki sztuki musi znać malarz doskonale i władać nimi, jak król.

Młodzi krakowscy artyści: pp. St. Czajkowski, St. Kamocki, H. Szczygliński, St. Filip-

kiewicz i Al. Procajłowicz, których dzieła znalazły obecnie gościnę w „Zachęcie,” znają swoją sztukę gruntownie, podglądali mistrzów, podglądali wiosnę i lato, jesień i zimę.

Charakterystyka młodych malarzy?

Czajkowski z nich wszystkich zdaje się być najwięcej nerwowym. Patrząc na jego obraz ma się wrażenie, że penzel malarza urządził gonitwę za obrazem, widzianym w myśli artysty. Ten pospiech nawet szkodzi niektórym obrazom. Czy nerwowość jest wrogiem artysty? Nie, jeśli on nad nią panuje. Nerwowość, to wrażliwość, im wrażliwsza oko, tem dokładniej widzi, im wrażliwsza dusza, tem delikatniej odczuwa. Obraz zatytułowany: „Brzozy,” bardzo ładny. Brzozy malowane bardzo realistycznie, ale choć takie bardzo prawdziwe, pomimo tego jakieś inne, niż ich siostrzyce w lasach. Czemu? bo nie tylko dusza przyrody w nich jest, ale też nieco z duszy artysty. W tym obrazie pierwszy raz się widzi, że pnie naszych brzoź bardzo są podobne do węzów o białolśniącej łusce. Tak jest, o tak, w istocie, ale to trzeba spostrzedz; dojrzał to artysta.

Stanisław Kamocki—jakież on? Bardzo kunsztowny, igrający z trudnościami technicznymi. Czy nie za kunsztowny?—o nie; sztuka winna chodzić w odświętnych szatach; ludzie się stroją nawet do... fotografii. Niektóre obrazy, jakby złożone z dwóch: jeden krajobraz, świetnie malowany, w głębi, a ponadto, na pierwszym planie, mały epizod, również świetnie malowany, jakby z innego wyjęty obrazu. Anemiczny „Szary dzień,” to jakby echo, ale bardzo dalekie, Böcklina. Opanowanie techniki najbardziej się uwidocznia w doskonałych pejzażach z „Zimy” i „Jesieni.” Dużo piękna jest w „Pejzażu letnim.”

Stanisław Filipkiewicz bardzo dobrze pamięta to, co widział, prztem posiadał już tyle artystycznej równowagi, że zawsze bez gorączki umie znaleźć stosowne środki do odtworzenia tego, co widział, tak, jak to odtworzyć zamierza. W „Okieściach” (nr 2-gi), przyniesionych, hen gdzieś w górach, śniegiem, zalety te okazują się najlepiej. Bardzo piękny obraz „Wieczór w Tatrach:” od ginących w mrokach turni idzie spokój, sugerujący spój.

Henryk Szczygliński przedstawił się na wystawie tak, jakby jeszcze był niepewnym, którą drogą pójść do ideału: do doskonałości.

Obrazy jego: „Wieża Maryacka,” a „Zadymka,” takie do siebie w technice niepodobne, takie zupełnie odrębne, jakby wyszły z pracowni dwóch artystów. Gdyby tak było, można by powiedzieć, że „Zadymkę” malował lepszy malarz—mało: doskonały malarz.

Al. Procajłowicz: bardzo delikatna indywidualność artystyczna, a prztem jakiś taki, jakby nieufny w swoje siły, chociaż... bezpodstawnie. „Wioska o zachodzie słońca” i „Wiosenne łąki” koją oczy cichą słodyczą.

Który z obrazów młodych Krakowiaków najwięcej z piękna odzwierciedla w sobie?

Który?—Chińczykowi nie podobałby się pewno żaden... Każda dusza ludzka w danym tworze sztuki inne piękno widzi i każda w każdej chwili inne. I dlatego właśnie sztuka, to największa moc, bo zawiera w sobie miliardy ideałów.

Wystawa dzieł J. Fałata.

Po Kossaku — Fałat dziś pierwszy polski akwarelista. Wybitna to artystyczna indywidualność: farby mu posłuszne, jak żywioły czarodziejowi z bajki i dużo, dużo (duszy, bez której nawet najbarwniejsza symfonia barw jest tylko dekoracją. Pewną ręką delikatne farby kładzie, a szare, miękkie, nie krzyczące barwy jego wielkim talentem owładnięte, nabierają siły i wymowności.

Fałat w historii akwareli polskiej to etap i znów laurem otoczona karyatyda wiekop-

mnego gmachu, jaki duch polski stawia polskiej sztuce.

W „Zachęcie” obecnie wystawa dzieł Fałata: piękna, bogata wystawa. Omówić wszystkie prace, zasługujące na uwagę, trudno, tak ich wiele, byłby kłopot z dobieraniem superlatywów.

Do najcharakterystycznych należą może „Giewont” i „Zagroda” u stóp tej dumnej góry. Wszystko najlepsze z indywidualności artysty w tych dwóch akwarelach zawarte. Są obrazy, które mówią do duszy ludzkiej, jak pieśń poety; do nich należą „Giewont” i „Zagroda,” dwa barwne „sonety tatrzańskie.”

Albo „Na podłuchach:” purpurę zachodzącego słońca zatapiają fioleły wschodzącej nocy; las, pełen tajemniczych cieniów, pod jednym z drzew na czatach człowieka, jak mara błądy. Do tego obrazu wraca się równie chętnie, jak do brylantowych zwrotek „W Szwajcaryi.”

Albo „Węglarze.” Pod murem usadowiła się ich gromadka, a każdy w wyrazie twarzy i w ruchu inny, a każdy bardzo charakterystyczny i bardzo prawdziwy. Interesujące dzieło, zaznacza się w niem dobitnie wielki zmysł obserwacyjny artysty.

A „Wieńczenie,” „Dziewczyna z kwiatkiem,” a te liczne typy zakopiańskie—w każdym z tych obrazów: poezja, prawda i prostota, a wszystkie arcydzieła.

Albo Fałat posiadał nie tylko tajniki akwareli. W labiryncie techniki malarskiej, gwiazdą przewodnią jest mu zawsze wielki jego talent i ten prowadzi go do doskonałości w każdym dziale wielkiej sztuki Michałowa Aniołów.

Te same zalety są w jego obrazach olejnych, jak w akwarelach: poezja, prawda i prostota.

Z prac tych zwłaszcza cykl widoków z Krakowa wraża się w pamięć. To nastrojowe, jakby w letargu spoczywające królewskie miasto podnieca jego talent bardzo żywo. Choćby się Krakowa nie kochało, można się w nim zakochać, patrząc nań przez duszę i oczy Fałata. Najpiękniejsza może „Zadymka śnieżna” nad dachami kościołów — jest dziwny urok w tej tajemniczej bieli.

Dużo piękna w pastelu z Wenecyi.

Dużo piękna, zalety wszystkie, w portretach państwa W.; układ bardzo miły: pani kładzie kabeł, pan niby czyta książkę, a właściwie zerka na panią.

Pełnym pięknej prawdy jest też portret brata artysty, oraz auto-portret na tle widoku Krakowa.

Sceny myśliwskie brawurowe... Są ludzie, którzy wolą, gdy tematem dzieła sztuki jest miłość, a nie walka; oni jednak może nie mają racji, może im się niesłusznie zdaje, że w parze z jasnym Apolinem nie powinien iść krwawy Nemrod. Wpływ sztuki na etykę, to znany pewnik, pisał o nim nawet, a pisał najwymowniej z pisarzy wszystkich wieków, stary Plato. Zamiłowanie do polowań, to atawistyczna pozostałość dawnej dzikości. Skoro zaś dzikość nie jest stosowną parą dla wydelikaczonego kultu etyzmu, to czyż gonitwa za bezbronnem zwierzęciem powinna być tematem do dzieła sztuki w epoce rozwoju najszlachetniejszych uczuć ludzkich? Tak jednak myślą może tylko „przeczułeni...”

Fałat jest dyrektorem krakowskiej Akademii malarskiej. Czy jest dobrym pedagogiem? O tak, z jego obrazów wchodzi piękno w serca uczniów i wszystkich, którzy piękna łakną.

Gilbert.



Przegląd teatralny.



Inicytywa widowisk abonamentowych. — Powodzenie przedstawień. — Fredro. — Bliźniński. — Bałucki. — Nowa komedia Z. Przybylskiego „Wojna domowa.” — Teatr Nowości.

Dobry pomysł może liczyć zawsze na powodzenie. Takim dobrym pomysłem było urządzenie w Rozmaitościach przedstawień abonamentowych, które, za inicjatywą hr. Wielopolskiej, reżyser główny, p. Śliwiński, szybko w czyn wprowadził — i oto co poniedziałek, tłumy publiczności gromadzą się na widowiskach, jakie daje pierwsza scena polska.

Krótkość czasu nie pozwalała na dokładne przygotowanie repertuaru, ani na wszechstronne opracowanie oddzielnych przedstawień. Znać też zarówno w układzie sztuk, jak i w ich wykonaniu pewną dorywczość, która czasami niekorzystnie nosi piętno w wyrazie artystycznym utworów, całość jednak tych przedstawień pociąga treścią głębszą i prawdziwą swą wartością.

Wznowienie Fredry na tych widowiskach miało charakter podniosły i uroczysty. Geniusz ojca komedii polskiej olśniewał swym blaskiem oczy widzów dzisiejszych, przywykłe patrzeć na szarą monotonię utworów doby współczesnej. Zdrowy humor nieśmiertelnego twórcy „Dożywocia” rozweselił posępne twarze słuchaczy obecnych, a do duszy ich zbiorowej wprowadził snop promieni istotnej radości i zadowolenia.

Stary Fredro jest ciągle młodym, a jego uśmiech pogodny ma taką świeżość dziś, jak kiedy go po raz pierwszy Warszawa widziała. Jest to świeżość wiecznej młodości geniusza.

Lat 85 upływa w r. b. od chwili, w której Fredro napisał pierwszą swoją komedię, która ujrzała światło kinkietów w Warszawie.

Sam Fredro tak opisuje ten ważny w literaturze polskiej moment twórczy:

„W roku 1819-ym napisałem „Geldhaba.” W interesie familijnym wypadła mi droga do Warszawy; wziąłem z sobą manuskrypt i z wielką nieśmiałością przedstawiłem go jednemu z ówczesnych arystarchów stolicy, który rzuciwszy okiem na spory zeszyt, zawyrokował, że wszystkim młodym daje jedną radę: skracać; potem czytał po jednej scenie dni kilka, nareszcie zdecydował, że są niektóre dobre kawałki, ale lepiej było we Lwowie wystawić, bo Warszawa nie zna takich Geldhabów. Potargowawszy się trochę, Ludwik Osiński wziął na koniec „Geldhaba,” i komedia ta była wystawiona w Teatrach warszawskich dnia 7-go Października 1821-go roku.”

Tą decyzją przychylną pchnął Fredrę w obranym przezeń kierunku i niewątpliwie przyczynił się do rozwoju jego geniuszu.

Pod szczęśliwą wróżbą rozpoczęte przedstawienia abonamentowe w Rozmaitościach, przemówiły do umysłu i serca widzów, ujęły publiczność i pociągnęły ją tak do teatru, iż na każdym „poniedziałku” w sali ścisk, nastrój żywy i miły, a w przestrzeni odgłos szczerych wybuchów śmiechu i oklasków.

Po Fredrze poszedł jego następca, dziedzic bezpośredni tradycji Fredrowskiej, Józef Bliźniński. Dano „Pana Damazego,” dzieło wielkiej miary, napisane w dobie najświetniejszego rozkwitu talentu Bliźnińskiego (rok 1876), pełne niepospolitych zalet i znamienitych cech rodzimych.

I piękny to był znowu wieczór w Rozmaitościach, zapełnionych przez tłumy widzów, żądnych podniosłych wrażeń. Rolę tytułową odtworzył najlepszy dziś wykonawca Damazego, Wojdałowicz, obok wprost znakomitego regenta Rapackiego.

Należało się również w szeregu wieczorów abonamentowych uwzględnienie komedjom

Michała Bałuckiego, który zdobył sobie dużą popularność w Warszawie. Odegrano też z powodzeniem jedną z najlepszych jego komedii „Grube ryby.”

Z autorów żyjących wznowiono K. Zalewskiego, lekką w treści, ale wyborną w formie i przeprowadzeniu komedję, właściwie krotkowił p. t. „Oj, mężczyźni, mężczyźni!” w której wyróżniła się samodzielna, inteligentna ożywiona i wysoce artystyczną grą p. Przybyłko-Potocka w roli Amelii Tichard. Niebawem wznowią „Bawidelko” Edwarda Lubowskiego.

Wystawiono też komedję Z. Przybylskiego, p. t. „Wojna domowa,” którą utalentowany i popularny autor „Wicka i Wacka” świeżo napisał.

Rzekłbym, że się uśmiechnął ze sceny, jak się uśmiechał dawniej w „Dzierżawcy z Oleśnicy,” lub w innych licznych komediach.

Przybylski uśmiecha się serdecznie do publiczności, a ona takim samym odpłaca mu się uśmiechem i ręce chętnie składa do szczerzego okłasku. Od lat blisko 25-ju maluje on swoje obrazki w słońcu. Tem słońcem zalewa on wieś naszą, dworki rozrzucone wśród pól pozłaczanych pszenicą, posrebrzanych żytem—i takie promienne wizerunki wiejskie przenosi na scenę, nie siląc się ani na wyraz psychologicznych rysów, ani na treść zbyt głęboką. Ma on dwa hasła, którym wiernie służy: śmiech wzniesić w tłumach i dostarczać im coraz to nowszej sposobności do śmiechu. Píše też ustawicznie; coraz świeższa komedia Przybylskiego spycha dopiero co napisaną i tak bez przerwy, ciągle.

Ta szybkość produkcji literackiej nie wychodzi na dobre komedjom Przybylskiego, ale nie na to nikt nie poradzi, bo pióro tego autora nie może zbyt długo przesuwac się po jednym przedmiocie.

Tak było z „Długiem honorowym,” wystawionym w r. z. w teatrze Letnim, tak jest z nową komedią: „Wojna domowa.”

W obu utworach jest jakaś intencja głębszej nuty, w którą autor pragnąłby uderzyć, ale dźwięk jej słabo się zaledwie wydobywa z zespołu płytkich, choć zabawnych scen i sytuacji. Być może, iż z czasem twórczość Przybylskiego zdobędzie się na właściwą powagę, że ręka pisarza weźmie za nawias cały ten balast karykaturalny, jaki się we wszystkich sztukach jego powtarza; dotąd jednak ani „Dług honorowy,” ani „Wojna domowa,” wymagań słusznych pod tym względem nie zadowolili.

Natomiast werwa nie opuściła dzielnego humorysty scenicznego, który posiada wielką wprawę w ruszaniu mnóstwa tych figur i figurek na scenie, w gestach i ruchach bardzo śmiesznych.

Kto przyszedł do teatru na „Wojnę domową,” jak na krotkowił, kto nie wiele w ciągu akty obiecywał sobie z poważnych zapowiedzi paru postaci, ten spędził wieczór w wybornym usposobieniu, uśmiechał się szczerze i wyszedł z lekkim sercem po przedstawieniu, nie mając żadnej pretensyi do autora.

To, co powiedziałem powyżej o płodnej działalności autorskiej Przybylskiego, stwierdzam jeszcze jednym dowodem. Dowiaduję się od niego samego, iż znowu kończy obecnie świeżą komedię w 3-ach aktach p. t. „Dama do towarzystwa,” osnutą na tle stosunków miejskich. Powodzenia!

Teatr Nowości przechodzi obecnie kryzys w skutek braku trzech pierwszorzędnych sił personelu: prymadonna operetki, p. Kawecka, wyjechała na dłuższy urlop do Petersburga, p. Łaska i pan Redo opuścili scenę. Po wyjściu tych trojga artystów potworzyły się w sztukach szczeliny, do załatwienia nielatwe. Nie wiem, jak się uda p. Sliwińskiemu zastąpić takie siły artystyczne—i czy w ogóle dadzą się one zastąpić, to pewna, że się ich brak daje mocno odczuwać na przedstawie-

niach, zwłaszcza w rolach subretek i lekkich amantów wodewilowych.

W chwili przełomowej reżyseria uciekla się do środka niezbyt szczęśliwego i wystawiła krotkowił p. t. „Na kwaterze,” godną potępienia i ostracyzmu, ze względu na treść niemoralną. Widziałem podczas drugiego aktu tej rozwiąskiej krotkowił, jak matka wyprowadzała z teatru dorastającą córkę. Była oblana rumieńcem wstydu...

Adam Dobrowolski.



Kronika działalności kobiecej.



— Paryż. Na wielkim, międzynarodowym konkursie muzycznym, ogłoszonym w Grudniu r. z. przez paryżki miesięcznik „Musica,” pierwszą nagrodę otrzymała Warszawianka, p. Wanda Landowska, za trudną kompozycję popisową, oraz drugą nagrodę za pieśń do śpiewu z towarzyszeniem fortepianu.

— Stany Zjednoczone. Na wystawie w St.-Louis, w pałacu mieszczącym oddział pedagogiczno-wychowawczy, urządzony będzie, między innymi okazami ulepszeń pedagogiczno-hygienicznych, wzorowy pokój dziecka. Inicytorką i kierowniczką robót jest pani Ashley Hirschfield z Nowego-Jorku. Oryginalny dział wystawy ma wykazać, jak przy najlepszych pedagogicznych i higienicznych warunkach wychowywać dziecko, poczynając od niemowlęstwa.

Sprzęty, dekoracje i ozdoby na ścianie, zabawki, wszystko wybrane jest z tą myślą, aby przyjemne, wygodne i zabawne łączyć z pożytecznym. W pokoju tym pomieszczone też będą: kompletne wyprawki dla niemowląt, bielizna i ubranie dla dzieci młodszych i starszych, pościel, przyrządy kąpielowe, sposoby różne ogrzewania, słowem wszystko, co służyć może ku zabawie, albo użyteczności dziecka.

Obok pokoju znajdować się będzie duża izba, gdzie demonstrowane będą wszelkie urządzenia i aparaty, służące do gimnastyki, ortopedyi lub do odżywiania dzieci, w pierwszej linii różnych systemów sterylizatory.

Dla uzupełnienia wrażenia „pokój dziecka,” będzie dla dzieci uważany w niektórych godzinach za miejsce zabaw, wolno tam będzie oglądać wszystko, przymierzać i zbierać się na wspólne zabawy.

— Austro-Węgry. W Peszcie powstało nowe stowarzyszenie kobiece pod nazwą: „Sztuka i kultura.” Inicytorką i przewodniczącą jest znana artystka-malarka, baronowa Helena Hussar. Stowarzyszenie otrzyma stałe, własne pomieszczenie, przy którym otwarty będzie salon wystawy, służący ku ułatwieniu zbytu prac stowarzyszonych tak miejscowych, jak i obcych, zagranicznych. Tamże odbywać się będą artystyczne odczyty i pogadanki. Biuro stowarzyszenia pośredniczyć będzie w zbycie prac artystek stowarzyszonych za granicę i zajmować się będzie umieszczaniem okazów na wystawach. Bliższych objaśnień udziela: przewodnicząca, baronowa Helena Hussar, Stadtwaldchenallee nr 26, i tymczasowa sekretarka, Rosika Schwimmer, Arenastrasse, 7.

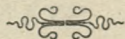
— Heidelberg. Panna Eleonora Walot, siostra znanego architekta w Niemczech, zapisała 200 tysięcy marek Uniwersytetowi w Heidelbergu na stypendya dla studyjących kobiet.

— Hollandya. W wielu większych miastach Hollandyi istnieją stowarzyszenia, noszące miano „Opieki domowej,” mające na celu rozciąganie opieki nad ubogim dobytkiem nędzarzów, chroniąc ich od sprzedawania lub zastawiania pościeli, sprzętów, naczyń i t. p. przedmiotów, niezbędnych do wygodnej codzien-

nego życia. Do stowarzyszenia tego, przyłączyło się obecnie drugie, pod nazwą „Opieki zdrowia,” zabiegające o dostarczanie biedakom, zwłaszcza dzieciom, środków odżywczych, ciepłej odzieży, oraz propagujące gorąco czystość i higienę.

— Strassburg. Panna Eliza Gutschow złożyła świetnie egzaminy na stopień doktora filozofii w Uniwersytecie strassburskim. Jest to pierwszy dyplom doktorski, wydany w strassburskiej *Almae matris*.

Z. S.



Nasz ul.



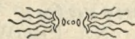
— Celem uczczenia 50-tej rocznicy ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, redakcja „Dzwonka Częstochowskiego” ogłosiła konkurs na wiersz, opiewający chwałę Matki Bożej. Utwór może być objętości dowolnej, najpożądźszym jednak jest krótki, od 30 do 100 wierszy. Najwybitniejsze utwory otrzymają nagrody w kwocie 25, 15 i 10 rubli, oprócz honorarium po po kop. 10 od wiersza. Termin nadsyłania rękopisów do redakcji „Dzwonka Częstochowskiego” pod adresem na Jasną Górę, upływa dnia 1-go Maja r. b.

— W dniu 30-ym z. m. odbyło się poświęcenie nowego Salonu sztuki, założonego przez p. Stefana Kulikowskiego przy ulicy Marszałkowskiej pod n-rem 129. Celem nowego Salonu jest popularizowanie sztuki wśród szerokich mas, dlatego też ustanowiono ceny wejścia bardzo niskie, gdyż 20 kop. w dni powszednie, a 15 kop. w niedziele i dni świąteczne.

— Projekt założenia w Łodzi gimnazjum żeńskiego prywatnego o prawach rządowych, zostanie wkrótce urzeczywistniony.

— Projekt wyższych kursów w Kijowie został zatwierdzony. Projektowane są wydziały następujące: historyczno-filozoficzny, fizyko-matematyczny z oddziałem przyrodniczym, handlowy i agronomiczny. Podobno wstęp na kursa te otrzymają osoby, które ukończyły 7 klas gimnazjum. Otwarcie kursów nastąpi z początkiem 1904/5 roku szkolnego.

Pszczola.



ODPOWIEDZI.

— Prenumeratorce z Podola. — Kroju sukienki dla 12-letniej panią dostarczyć w tej chwili nie możemy, ponieważ nie znajduje się on w pośród klisz, ostatnio z zagranicy nadeszłych. Być może, iż niezadługo między innymi i żądana kliša nadejdzie.

Nr 39-ty z r. z. poświęciliśmy całkowicie ubraniom dziecięcym i posiadamy do nich umyślnie przygotowane biulkowe kroje, które na żądanie, za nadesłaniem marki 7-kopiejkowej, Szan. prenumeratorkom naszym dostarczamy. Może Szan. pani zechce przejrzeć ów numer, a niewątpliwie znajdzie to, czego żąda.

Co zaś do wskazanych nam liter—prawdopodobnie znajdują się one na dużych tablicach, które od czasu do czasu podajemy na ostatniej stronie naszego dodatku z modami.

Treść numeru:

Kobieta japońska, przez eż. — Wnuczka (nowella), przez Halinę Adę (ciąg dalszy). — Przy kominku (pogawędka), przez Kazimierza Glińskiego. — W Popielec (wiersz), przez Z. Morawską. — Nasz Kwestyonaryusz macierzyński (ciąg dalszy). — Historia kobiety, studium historyczne, przez Julię Terpilowską (ciąg dalszy). — Popielec (wiersz), przez Artura Gliszczyńskiego. — Drobnostki (ciąg dalszy). — W odpowiedzi p. Ryxowej, przez M. Rolicz-Staniecką. — W „Nazarecie.” — Z warszawskiego pałacu Sztuki, przez Gilberta. — Przegląd teatralny, przez Adama Dobrowolskiego. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Nasz ul., przez Pszczolę. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz ósmy powieści „Miłość moim grzechem.” w przekładzie z francuskiego M. Łaganowskiej.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycyn 17). — Przegląd mód. — Pogawędka gospodarska. — Przepisy kuchenne, oraz Tablica krojów.

„Kurier Codzienny“

Pismo Społeczno-Literacko-Polityczne
pod redakcją **STANISŁAWA LIBICKIEGO**.

W roku bieżącym drukować będzie słynne

KRONIKI TYGODNIOWE BOLESŁAWA PRUSA

tegoż autora:

KARTKI Z PODRÓŻY.

Od Nowego Roku „KURIER CODZIENNY“ drukuje nadzwyczaj interesującą powieść społeczno obyczajową na tle stosunków żydowskich p. t.:

ŻYDZI

napisaną przez **Michała Muttermilcha** znanego estetyka i nowelistę zamieszkałego w Paryżu.

Jako

PREMIUM BEZPŁATNE

„KURIER CODZIENNY“ da **12 TOMÓW** (120 arkuszy) najcenniejszych utworów literatury swojskiej i zagranicznej, między innymi znakomitą powieść **T. T. JEŻA USKOKI**, **MAURCEGO MOCHNACKIEGO**

O LITERATURZE POLSKIEJ XIX WIEKU.

Wybór pism **LUDWIKA SZTYRMERA** p. t.:

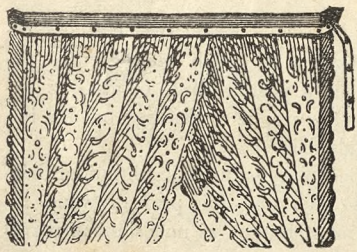
„Powieści nieboszczyka pantofla“,

PAWŁA BOURGETA p. t.:

CICHA WODA i inne.

Cena prenumeraty: W WARSZAWIE: Rocznie rb. 6, półrocznie rb. 3, kwartalnie rb. 1 kop. 50. NA PROWINCYI z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 9, półrocznie rb. 4 kop. 50, kwartalnie rb. 2 kop. 25. — Za odnośnienie do domu kop. 10 mies.

ADRES: **Krakowskie Przedmieście Nr. 17.**



Praktyczna

Nowość!

Tasiemka

„FAWORYTA“

bez szpilek i gwoździ momentalnie upina firanki
nie niszcząc ich.

Do nabycia we wszystkich sklepach.

Wyłączna hurtowa sprzedaż

Józef Grzywaczewski i S-ka

Warszawa, Warecka 10. Telefon 1030.

33 NOWY-ŚWIAT 33

SKŁAD PAPIERU

Edwarda Teodorkowskiego

poleca wielki wybór papierów listowych krajowych i zagranicznych, Albumy do kart pocztowych, karty pocztowe, wizytowe, oraz wszelkie roboty drukarskie i litograficzne.

III-ci rok wydawnictwa

Wychodzi dwa razy na miesiąc, objętości 96 — 112 str. wiel. form.

Biblioteka Samokształcenia

Zawiera artykuły popularno-naukowe ze wszystkich dziedzin nauki; w dziale książkowym: dzieła i studia obszerniejsze.

Wyszedł № 1. Zawiera: Od redakcji — St. Kucharskiego; Nauka a natchnienie — D-ra Piotra Chmielowskiego; Pierwsza kartka historii religii — Ign. Radlińskiego; Eug. Dühring — D-ra H. Höffdinga.

W dziale książkowym: **Wyższe wykształcenie kobiet a współczesna nauka uniwersytecka** z dodaniem uwag **O zasadach przewodnich samokształcenia i samokierownictwa duchowego** — D-ra Eug. Dühringa.

Biblioteka ogłosiła konkurs 500 rublowy dla prenumeratorów na wybranie „złoty myśli“ zawartych w dziełach wyszłych w Bibliotece. Termin 14-go Września. Komplet Bibli. Sam. z 1903 roku do nabycia jeszcze po cenie redakcyjnej.

Z roku 1902 komplety są już wyczerpane.

Pojedyncze książki do nabycia w księgarniach.

Prenumerata: rocznie 6 rb., półrocz. 3 rb., kwart. 1.50 rb.; z przesyłką: 8 rb., 4 rb., 2 rb.

Dla kształcącej się młodzieży 50 kop. miesięcz. w miejscu.

Redakcja: **NOWY-ŚWIAT 37.**



Fosfatyna Faliera,

przyjemny pokarm najodpowiedniejszy dla dzieci od 6 miesięcy do 10 lat, zwłaszcza w czasie odłączania od piersi i w okresie rośnięcia. *Ułatwia ząbkowanie i zapewnia prawidłowy rozwój kości.*
Sprzedaż w składach aptecznych i aptekach.

**BIURO NAUCZYCIELSKIE
PAULINY BURCHARDT**

Warszawa, Marszałkowska 125.

== Poleca Nauczycielki, Bony. ==

Dr. H. ZAMENHOF

specjalnie choroby skóry i włosów.

Orla 12 do 10 r. i od 4—6 p. p.

ZAKŁAD HODOWLI DROBIU RASOWEGO

Izabelli Ryxowej

w Prażmowie, p. Grójec (g. Warsz.), ma:

do Sprzedania.

1) **Indory** brązowe, amerykańskie i indory czarne, francuskie, Solońskie, zahartowane na deszczu, rosie i mrozie. Cena 10 rb. sztuka. 2) **Gąsior** rasy Emdeńskiej, wielkie, śnieżnobiałe, tegorocznego legu, wyborne reproduktory dla odświeżania krwi. Cena 8 rb. sztuka. Indyki i gęsi (samice) tychże ras na sprzedaż przeznaczone, już wszystkie wyprzedane.

Księgarnia **J. Fiszer**a, Nowy-Świat 9 w Warszawie — zaleca dzieła pedagogiczne **Reussnera** do bardzo przedkij i najłatwiejszej nauki **Języków Obcych, bez nauczyciela** z objaśnieniem wymowy i z kluczem pod tyt.:

Polsko-Niemiecki kurs wstępny (Elementarz) po k. 5, 12, 24 i 40; kurs I-y k. 80, kurs II-gi rb. 1.60.

Rusko-Niemiecki po kop. 5, 12, 24, 40 i 2.20.

Polsko-Francuski kurs I-y k. 1.20; kurs II-gi rb. 3.20.

Gramatyka Polsko-Francuska kop. 1.20.

Wypisy Francuskie kop. 80.

Polsko-Angielski kurs I-szy kop. 75; kurs II-gi kop. 1.20.

Amerykański Przewodnik kop. 50 i 5.

Polsko-Ruski Elementarz po kop. 5, 12, 24, 40; — kurs I-y kop. 1.40; — kurs II-gi kop. 1.80.

Pracownia Sukien i Okryć Damskich

„HELENY“

Wielka 40 m. 20.

Fasony podług modeli paryskich wykonywa po cenach przystępnych.

Wydawca: **Piotr Laskauer**. — Redaktor: **Maryan Gawalewicz**.

Дозволено Цензурою. Варшава, 6 Февраля 1904 г.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41.